

# W pomrokach wiary



STEFAN GRABIŃSKI

# W pomrokach wiary

## Puszczyk

*Matce mojej w czci i ukochaniu poświęcam*

Otom jest stary włóczęga, sterany pielgrzym bezdomny. Wiosenne świty młodości mojej pogasły dawno; dziś sklepi się nad osędzią, zwichrzoną wiatrami drożnymi głową szary zachód odarty z pokrwawia<sup>1</sup> słońca, co przerażone starczym chłodem skryło swe ognie gdzieś za zwałami burch chmurzysk. Czasem tylko wyśliżnie się przez szczeliny duszy namiętny płomień przeszłości i twarz mi szkarłatem okraśi; wtedy i mnie starego zdziwi niewczesny, i sam zawstydzony gaśnie prędzej jeszcze, niż rozbłysnął: uśmiechnę się zjadliwie i idę dalej... Dalej, naprzód w tę dal bez końca, co sinym rąbkiem się znaczy; idę po polach rozłogich, jarach przepastnych i debrach, strzępy mych szat zostawiając po krzaczach przydrożnych. Wiatr porywa je i roznosi spuściznę po nędzarzu hen, hen po świecie. Przede mną płożą się w kolejnej przemianie niwy ludzkie, bory i lasy, pstrzą chaty wiejskie, stożą wieżycę miast; lśni się, migoce, szaleje i płacze cały ten wielki, boży świat.... A ja wciąż w drodze — jak pies bezpieczeństwa odtrącony od domowego ogniska wałęsam się po rozdrożach....

Krzyżowe drogi! Rozstaje!... Wicher się, tułacz, po was kołysz, wygrywając mi je-sienną piosenkę życia. Czasem mnie spije ten luty<sup>2</sup> śpiew, a wtedy idę przed siebie w spi-zowej zadumie, nic nie widząc, a on mi zimnym tchem lży ociera, co skądś nagle zebrały się pod obrzękłą powieką...

Stary, dziki włóczęga...

Podłe życie miałem — podłe i nędzne! Ludzie mnie znienawidzili — jam im prze-kleństwo piastował. I tak nienawiść wielka i ból wezbrały mi w sercu, że straszny się stałem szczęściu ludzkiemu, sam tułacz nieszczęsny.

— Dzikie, straszne masz oczy — mówili mi ludzie od dziecka. Tak straszne mi oczy dała matka-natura. Bo oczy te miały przekłątą siłę: obudzały przyczajoną w zakątkach duszy bliźniego świadomość rychłego nieszczęścia; oczy moje rozpętywały uśpione w pie-lszach duszy przeczucie. Jak hiena wietrzy po cmentarnych ugorach padło i trupy, tak ja wyczuwałem z dala ofiary złej doli; wiedziony magnetycznym pociąganiem zbliżałem się do tych wyklętych ziemi, by ich już odtąd nie opuścić, aż się spełniło to, co mi demon jakiś zwierzył w głębi duszy. Sam przy tym cierpiałem jak potępieniec. Była to jakby wielka choroba: nie miałem chwili wytchnienia, męczyłem siebie i owych nieszczęsnych, wokoło których krążyłem jak sęp krwiożerczy, hipnotyzując swe ofiary pożądliwym okiem; zata-czałem kręgi coraz bliższe i bliższe, pasąc oczy ich bezdenym strachem; byłem nieodłącz-ny towarzyszem w nocy i we dnie, nawet we śnie panowałem nad nimi wszechwładnie w upiornych marzeniach... Aż się dokonało... przeczucie przyoblekło w rzeczywistość, aż padł grom... Wtedy odchodziłem... innych uświadamiać. Dlatego jest przeklęty od ludzi i ziemi i znamię Kaina czoło pali. Sam zatraceniec — innym zatratę i nieszczęście głoszę.

<sup>1</sup>*pokrwawie* — krwawej barwy blask (tu: zachodzącego słońca). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*luty* (daw.) — surowy. [przypis edytorski]

Lepiej ty mnie, ziemio wyrodna, pochłoń, bo wiedz, żeś potwora pomiotła<sup>3</sup>!...  
Lepiej ty mnie, wodo jasna, zatop, bo wiedz, że upiora krzepisz!  
Lepiej ty mnie, wicherze polny, ponieś w przepaść, bo wiedz, że wyrodka chłodzisz!  
Piosnkę nucisz, piosnkę, starą piosnkę — dumę. Błąka się wicher po polu — hej!  
Tumany stepowe, wichuro zaciekla!.. W drogę, w przestwór, w dal!...

Był dżdżysty wieczór jesienny. Niebo nasunęło stalową przyłbicę chmur, tylko od czasu do czasu wyzierając sinym, osowiałym okiem spod odwiniętych wiatrem powiek. Panował obojętny ton, tak przygnębiająco nijaki i jednostajny, jak szara, rozziewana nuda. Drobnny deszczyk zacinął bezustannie; po badyłach i sztywnych prętach rzącił wiatr, wpadał w poźółkłą już pierzeję topól wzdłuż gościńca, zawodząc boleśnie. Z przeciągłym sykiem wrzynał się w nastroszone ich wirchy i za każdym razem wyczesywał całe garście popstrzonych czerwonymi cętkami liści; znów porywał je, skręcał w tuleje lub, opadłe na ziemię, pędził długim, szeleszczącym szeregiem po trakcie. Przydrożny wiatrak chwycił go poza topolami na czarne ramiona manekina i poszedł w taniec: zakręcił, zawrócił warczącego młynca i stanął... Wiatr ześliznął się lekko po skrzydłach... wypadł z czarciego młyna, pocałował szczerzącym drapieżną szczęką rżyskiem i zapadł w jarze: przycichło...

Zmokły, przeziębły szedłem dalej. Z lewej krzyż omszały się kłonił; na krzyżu kruk. — Zakrakał, zakrakał i odleciał... Minąłem krzyż. Na przełaj przez pola włócił się wychudły pies; zapadłych boków zwierzęcia omal że nie przebijały twardo sterczące żebra. Żał mi się zrobiło psiaka: zbliżyłem się, by mu rzucić gien<sup>4</sup> czerstwego chleba, ale w tejże chwili strach dziki odepchnął mię w tył: z zaczerwienionych gorączką ślepiów bestii ziała wściekłość. Odszedłem na bok.

Popędził dalej każąc drogę krwawą pianą.

— Wściekły pies — mruknąłem przez zęby, odruchowo chwytając za pierwszy spotkany kamień.

— Głupcze — zasyczało coś w odpowiedź — głupcze, wszakże to twój kum, brat serdeczny.

Ziąbłem teraz tak, że z trudnością podnosiłem zgrabiałe stopy. Mijając małą dąbrowę, zauważyłem pomiędzy odartymi z kory pniami na polanie gromadkę ludzi przy jarzącym się ognisku. Mleczny, ciężki dym wysuwał białe ssawki spoza pęków chruścików, uschłych gałęzi i liści składających watrę i, pełzając miękkim ciałem, lizał ziemię; omotywał węzowym splotem dębczaki, kłębił się w wykrotach, pieścił drapieżny wieciek tarniny i ostów.

Poprosiłem ludzi grzejących się o miejsce przy ogniu. Byli obdarci nie gorzej ode mnie i wyglądali podejrzanie. Zaczepieni spojrzeli na mnie ciekawie z niedobrym błyskiem w zuchwałych oczach, ale spostrzegłszy nędzarza, uśmiechnęli się drwiąco i z lekceważeniem. Starszy mężczyzna o wyrazie ponurym wycedził z grymasem:

— Nie ma miejsca. Poszedł won do biesa!

Zawróciłem na drogę. Przeciągły śmiech szyderstwa, urągliwy, kłujący szedł mi w tropy i długo jeszcze, długo towarzyszył zjadliwym chichotem.

Tymczasem zrobiło się jeszcze zimniej. Deszcz zlewał całe upusty na grząską od wilgoci ziemię; długie, łzawe struny rozpięły się między zasepionym sklepem niebios a splakаныmi polami; wiatr rwał je co chwila, rozpylając w drobne krople i siekł mokrymi warkoczami dżdżu przydrożne drzewa. Pociemniało gwałtownie: ponury zmierzch jesienny kroczył szybko z przesłonionym potworną dłonią licem po rozszlochanych świcie. Tylko tam daleko, tuż przy poziomie krwawił się zachód; ale i ten zakryły mi wrychle zsiniałe kotary chmur, zesuując się szczerlnie nad purpurowym misterium słońca.

Z uczuciem ulgi zawróciłem z gościńca na boczną ścieżynę, by dotrzeć do wpół rozdarte go kleciska, jakie się ukazało na uboczu. Zrazu czerniały mi tylko niewyraźne zarysy czegoś nikłego i zgarbionego. Z wolna kontur uwydatnił się silniej, kształty wyodrębniły i z mroków nocy wychynęła stara, na poły rozwalona cegielnia. Starucha pochyliła się niziutko, niziutko — tak, że mocno nadniszczony okap z gontów niemal dosięgał spróchn-

<sup>3</sup>pomiotła — tu: urodziła; por. pomiot: urodzone przez samicę małe. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>gien — glon, glonek; kromkę. [przypis edytorski]

niałym skrzydłem ziemi. — Naokół grunt był udeptyany i twardy. Obchodząc cegielnię ze wszech stron szukałem dogodnego miejsca na nocleg.

Na razie był przynajmniej dach nad głową — ale co za dach! Raczej przetak<sup>5</sup>; znać<sup>6</sup>, długoletnie ulewy nadgryzły gonty i tarcice, które podziurawione w rozpaczliwy sposób przepuszczały deszczówkę. Na ziemi wałęsały się miejscami odmioty cegły, szczyrzyły potłuczone czerepy, szczyrzyły porowate żużle, odłamki szkła i pordzewiałego żelazniwa. W środku niewielka bałda pryszczyla się rudym tonem cegły zmieszanej z innymi odpadkami.

Postanowiłem urządzić się możliwie najwygodniej. Parę przegniłych dylów poprzecznych grożących obsunięciem za lada silniejszym tchem wiatru wyrwałem z dziurawej posowy<sup>7</sup>; padając roztrzaskiwały się w drobne szczapy. Miałem tedy wyborne paliwo, przy czym zbyteczna okazała się hubka. Należało jeszcze zabezpieczyć się od coraz natarczywej wichury. Tu i ówdzie pozostałe odpryski cegieł i opodal nieznaną ręką nagromadzone kamienie posłużyły mi na wybudowanie ścianki ochronnej, opartej o jeden ze słupców, które podpierały szatro<sup>8</sup>. Podobnie udało mi się utworzyć małe palenisko, czy raczej dół wyłożony po krajach cegłą i szutrem. Przy pomocy nieodstępnego krzemienia zażęgłem ognisko. Zakryty jako tako przed srożącą się szarugą, skurczony, zasuty<sup>9</sup> w łachmany grzałem się. Gdzieś odgrzebana lecha<sup>10</sup> suchego chleba złożyła się na wieczerzę. Żując z trudnością, wpiłem oczy w drgający, niespokojny płomień... Dziwne, jak ogień umie przykuwać do siebie! Można tak patrzeć godzinami bez myśli, bez ruchu. Podobny czar wywiera woda w żywiołowej postaci wielkich mas. Pamiętam, jak raz, siedząc nad większą rzeką, nie mogłem oczu oderwać od cicho koczujących się fal; wzrok włócił się po nurtach i płynął razem. Uczuwałem gwałtowną chęć oddania się wodzie: słodkiego odpoczynku w łożu rodzimym.

Innym razem zasnąłem ukołyszany zdradliwie chybotem zmierzwionych srebrną posoką<sup>11</sup> bałwanów. Wtedy dziwne sny miałem — marzenia, których podobno zwykły sen nie użycza. Miałem wrażenie czegoś nieokreślonego, ogromnie wiotkiego, co przenikało wszechświat, przepływało całą mą istotę, łącząc ją ściśle z olbrzymim środowiskiem ziemi. Gibkie, prężne fale ciekły przez ciało, a w nich jakieś ruchy subtelne jak myśl, elastyczne jak piłka, mżyły.... Odczuwałem je, lecz nie zmysłami — te spały snem żelaznym, nieprzepartym — odczuwałem całym sobą, najdrobniejszymi włóknami nerwów, ich splotem tysiącwęzłowym rozpiętym w ciele.

Widziałem rzeczy dziwne, niepojęte: najskrytsze drgania świata nie uszły mej śledczej uwagi, przepożęta jasność rozświetlała przede mną kryjówki natury, ostępy niezbadane, do których może nigdy współbracia moi nie dotrą; widziałem z bystrością ostrowidza fatalny łańcuch przyczyn wstecz; ostrożnie, z nieubłaganą wynikliwością wyciągałem wnioski potworne, a jednak (niestety!) prawdziwe!

I rozumiałem! Ja — człowiek — wiedziałem!

A wszystko mi było obecne: i przeszłość, i obłędna przyszłość — jedna wielka ciągłość bez końca — zawrotne, błędne, groźne koło... I byłem, i jestem, i będę!...

A ciche fale były wciąż miękko o zachwycone ciało, drgały, krzyżowały się, przenikały... A zmysły spały, a rozum (he, he, intelekt, ta mądra bestia) — drzemał spity, bezsilny kat!...

W takich to chwilach wychylało też ohydną głowę z pomroki przyszłości i ono — to przekłete, nienasycone... nieszczęście... i wbijało mi swe szpony niezatartym śladem. — Gdzie? — Nie wiem: przepajało całe jestestwo. I tylko ono, tylko jego świadomość i pamięć pozostawała po przebudzeniu ze snu czy z zapamiętania. Lecz wtedy nie dawało mi spokoju, dusiło zmorą, dopóki nie spełniło się w upatrzonej ofercie. A mnie przypadła rola pośrednika: uświadamiałem... Klątwa i dopust na mnie!... Skąd i czemu!? — Ot tam drzewa gwarzą szumnie, tam wichur skowyczy — spytam, może wiedzą...

<sup>5</sup>przetak — rodzaj sita. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>znać — tu: widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>posowa (daw., gw.) — sufit. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>szatro — [przypis edytorski]

<sup>9</sup>zasuty — [przypis edytorski]

<sup>10</sup>lecha — [przypis edytorski]

<sup>11</sup>posoka (daw.) — krew. [przypis edytorski]

Ogień, Woda, Wzrok, Siła,  
Czary

Natura, Wiedza, Los, Sen,  
Obraz świata

Prorok

Ogień trzeszczał i syczał, wyciskając pienisty sok z śliniącego się drzewa. Spopielale drewnienka obsuwały się z szelestem na obie strony, wirował perz, unosząc się ze zgliszczy. Dziwaczne cienie majaczyły po dylach, rozsiadały się po ceglach; długie, kosmate łapy sięgały drapieżnie po coś, wyciągały chwytne kłykcie, coraz chudsze, nerwowe — dalej... wyżej... cofnęły się. Jakiś stwór poruszał sennie potwornych rozmiarów łbem tam i na powrót, nudnie, jednostajnie... przeszedł w rodzaj koła rozpedowego: szalony obieg raz! drugi!... pękły dzwona... Wiotkie, wrażliwe macki rozstawiły zdradliwą siatkę cieniów: czyhają... jest! Zamroczyło coś, zamżyło, znikło... Tam, tam nad wodą, nad zieloną... brr... co za cudna główka... rozplecionych włosów czar — sine, mokre oczy... uśmiech skrasiał ust korale... dziecię u łona... Co?! Boże mój!... W topiel!... Oboje!!...

Oprzytomniałem. — Tuż nade mną pochyłony mężczyzna wpatrywał się uporczywie w rysy mej twarzy; niespokojne oczy nieznanego wrzynały się we mnie z niepojętą natarczywością.

— Przepraszam — szepnął, uchylając nieco podróznego kaszkietu, z którego ściekała woda na płaszcz gumowy — zdaje mi się, że przerwałem sen.

Na razie nie zdołałem skupić należycie myśli na odpowiedź.

— Widzi pan — ciągnął niezrażony tym dalej — urządziłem się diabło niepraktycznie. Zawezwany do komisji sądowej jako rzeczoznawca wyjechałem razem z wszystkimi na miejsce zbrodni. Uważa pan: pobito śmiertelnie chłopca, zwyczajnie, w karczmie, przy niedzieli. Ot, bydło! Czaszka przez pół na potylicy... kołem<sup>12</sup> z płotu.

Otóż po załatwieniu tej arcymilej czynności zostało mi trochę czasu przed powrotem. Podobno sędzia miał przeprowadzić pewne formalności z sołtysem. Poszedłem tedy w las. Znasz pan te strony — piękne bory, nieprawdaż? No i nie uwierzy mi pan, zabłąkałem się najzupełniej, bez wyjścia. Tutejsi ludzie mówią, że w lasach oman chwyta... ha, ha! Toteż i mnie lichy jakiś zapędziło w głębie. Było już ciemno i deszcz siekł porządnie, gdy w końcu wydostałem się krętymi manowcami na gościniec. Naturalnie za późno już było i za tęga zlewa, żebym, spostrzegłszy pańskie światelko, nie miał mu złożyć mego uszanowania... wszak nie wyrzucisz mnie pan z przedziału?...

— Ależ samo przez się zrozumiałe, proszę bardzo — odparłem z widocznym wysiłkiem. — Zresztą, przyznam się panu, doktorze, że go tu oczekiwałem.

Spojrzał mi w oczy z wyrazem zdziwienia. Po chwili, uśmiechając się pobłażliwie, zauważył:

— Zdaje mi się, nie możesz pan opanować resztek snu, w jakim go zastałem. Swoją drogą niezbyt wesoło musiałeś marzyć. Mogłem chwilę studiować jego twarz: zrazu nieokreślony uśmiech błędził koło ust. O! Taki właśnie, jak teraz — potem błysk zachwytu i...

— No skończę już raz pan!...

— Krzyknąłeś...

— Ja krzyknąłem!? Złudzenie! Wszystko złudzenie! Ja wcale nie spałem...

— To dziwne... chociaż... być może. Oczu nie zamknąłeś pan przez cały czas ani na chwilę. Tylko że wyglądało to tak, jakbyś mimo to nie spostrzegł mojej obecności: był to szklany, tępy wyraz. Powiedz mi pan: nie doznajesz czasami...

— Doktorze! Zostawmy to, proszę. Lepiej, myślę, zrobisz, zdejmując przemoczony płaszcz i rozwieszając nad ogniem.

— Niech i tak będzie — odparł trochę zmieszany, zdejmując wierzchnią zarzutkę, którą następnie rozpostarł między łatami pod okapem. Dopiero teraz ujrzałem dokładnie młodego mężczyznę o twarzy pięknej, okolonej bujnym, ciemnym zarostem. Czarne, błyszczące wewnętrzną energią oko zdradzało odwagę i stanowczość. Wytworne, lecz bez wyszukania ubranie uwydatniało silne i zgrabne kształty. Cała postać oddychała jędrną, niespożytą siłą młodości i szczęścia. Pogoda wyniosłego czoła i młody, zdrowy uśmiech przewijający się chwilami po wąskich ustach świadczyły o tym wymownie.

Patrząc nań, doznawałem najrozmaitszych uczuć. Jedno przecież wybiło się ponad ten nieokreślony chaos. Oto czułem, że coś mnie z tym człowiekiem wiąże: a taka niewidzialna, podziemna struna; ogarnęła mnie niepojęta ku niemu czułość i pieczołowitość. Było w tym coś niezwykle wstrętne: niby rozzulenie kata nad swą ofiarą. Chwilami

<sup>12</sup>koł — kolek, drag. [przypis edytorski]

ostry ból i litość dojmowały mi nieznośnie, wkrótce jednak ustępowały przed przemożnym uczuciem pierwszym. Złośliwy kurcz wykrzywił mi twarz, fałdując ją w szatański, demoniczny półwyraz.

Doktor tymczasem przytoczył do ogniska krąglak i usiadł naprzeciw, rozgrzewając zsiniałe od chłodu ręce.

Chwilę zaległo przykre milczenie, tylko ogień skwierczał zgryźliwie, szepleniły szumowiny drew... Wtem ciszę rozdarł przenikliwy głos puchacza, przewlekły, zawodząca skargą...

— Czas już! — przecwałowało mi przez mózg w szalonym pędzie i zapadło w pomrokach duszy.

— Doktorze — podjąłem ochryple, nieswojo — Pan wierzysz w przeczucia? Zadrżał. Ciemne oko utkwilo niespokojnie w moim.

— Przeczucie?... Nie wiem... doprawdy, sam nigdy nic podobnego nie doznawałem. Są ludzie wrażliwi na takie rzeczy, inni nie reagują zupełnie.

— W takim razie trzeba im dopomóc — szepnąłem z piekielnym łyskiem oczu.

— Ależ pan oszalałeś! — zachnął się, powstając wzburzony. — Na co<sup>13</sup>!? Dlaczego?!...

— Ha, ha! Wyborny pan sobie jesteś. Spytaj mimozy, czemu stula kwiaty na słońce, spytaj ptactwa, czemu spieszy, na wyraj? To nieprzezwyjężona konieczność!

Doktor przemierzał cegielnię dużymi krokami, od czasu do czasu mnąc brodę wąską, niemal kobiecą ręką, na której średnim palcu połyskiwała w płomieniu ognia złota obrączka.

— A wiesz pan, co to zawiść bogów, zemsta nagła i druzgocząca jak piorun przy promiennej pogodzie dnia? Dziś jesteś silny i mocny szczęściem, ale to się mści w czwórnasób! Pan nie masz prawa! Patrz tam, w zbutwiałe doły życia! Czy widzisz te zropiałe działą, próchnicę ciał, zgniliznę dusz? Czy słyszysz chrobot skażonych głosów, rżenie spiekłych gardzieli, poświst kończących krtani? Krew tłoczy się w arterie ciężko, ospale, żar praży trzewia, wnętrzności!

To wasze dzieło! To wy, wyście przechylili szali, wy podli, szczęśliwi!

Lecz my przywrócim równowagę, my, ludzie mroku, nieznani, my, dzieci nocy, za-  
ulków! Tak nam dopomóż Bóg!...

O, jak ty ją kochać musisz... błękitnych oczu toń, miętko-płowych włosów zwój... O, jakie ty spijasz czary ze szkarłatnych warg... rozszalałe tulisz łono do spalonych ust... i dziecię z nią masz... Ale drżj przed wielką wodą, co drzemie ustała: taka rudą zaciągnięta rdzą... Bo czasem zły urok w niej uśpiony lubi zwabić... w dół... a rankiem pod jutrznianą poświęcę bieleje opity wodą, wzdęty trup... perłowych zębów połysk lśni pośród nadgniłych warg... A może i nic nie wymiecie staw... tylko w białe, srebrem tkane noce cichy na topieli plusk... pomiędzy rokiciną świecą sperlone rosą oczy martwicy... obłe ciało łuską gra... dzieciny tęskny szloch...

Przystąpił do mnie ze zmienioną straszliwie twarzą, bład, z kroplami zimnego potu na czole:

— Słuchaj, ty stary kuku, zwyrodniały żebraku — krzyknął z pianą wściekłości czy bezdenne strachu — mógłbym cię zabić jak psa!...

Odepchnąłem go lekko ręką:

— Ni ty, ni nikt z ludzi! Tacy jak ja są bezpieczni przed zabójstwem. Bo należę, he, he!... No tak, do wybrańców ziemi, do wyklętych; bo na mnie swój znak położył Wielki Nieznajomy i nikt mnie tknąć nie może. „Bo kto by podniósł rękę na Kaina, w siedmiokroć ukaran będzie”. Tu tylko, w piersi piekło wre, tu szarpie wciąż krwi chciwy sęp. I w tym cała kłątwa tkwi!... A teraz odejdz stąd!... Już czas. Temu czoła nie stawisz. Tu większa władza moc: nie zdzierzysz. Może obaczysz się wkrótce...

Władczym ruchem wskazałem mu drogę.

Odszedł...

Wwiercając wzrok w czeluście nocy, w których zginął, slyszalem długo jeszcze, jak po drodze potykał się, podnosił, ciężko włókl...

Potem zgłuchło. — Spojrzałem na konający ogień, na płaszcz sztywnie rozdarty i w tę czarną noc: i skowyt serce zdjął...

Przecucie, Wizja,  
Szczęście, Pozycja  
społeczna, Sprawiedliwość,  
Prorok, Przekleństwo

<sup>13</sup>na co (daw.) — po co, w jakim celu. [przypis edytorski]

Na świecie weselił się skąpany w czerwieni zachodzącego słońca pogodny, jesienny odwieczerz. Krwawe pasma światła wytryskiwały spod ziemi pławiącej się na krańcach nieboskłonu, by rozkociwszy się purpurową falą po zadumanych lewadach, łęgach, sianożęciach, bluznąć posoką w przycichłe lasy. Ze świeżo skoszonych otawisk wynikały wonie mocne a słodkie, z późnych potrawów szedł smętny głos ligawki<sup>14</sup>. Tu i tam turlikały dzwonki niewidzialnych cielic. Po łąkach rozsiadły się stogi siana, poprzekrzywiały nastrożone czapy sterty, spodem rozścieliły rządkami pokosy.

Zaogniona tarcza staczała się coraz niżej, brocząc coraz silniej. Była chwila, kiedy się ten fatalny zjazd pod ziemię zatrzymał: słońce jakby zawahało, zachwiało — wszystkie swe twórcze siły skupiło i, obrzucając żalobny świat szkarłatnym przepychem rozbłysło ostatkiem mocy cieplej, błogosławionej. Była to uczta przedśmiertna, szalona orgia zamierającego życia, wysiłek wspaniały, królewski. Objęło gorącym spojrzeniem czerniejące zwartym wałem na wschodzie bory, wilgotne rosą wieczorną pola, pastwiska, zapaliło ogień w wieżycze kościółka, zagrało smutno na twarzy włóczęgi-obłąkańca.. i poczęło dokonywać drogi...

Byłem pod nieznaną mi wioską. Bezwładnie, ze zwieszoną głową przeszedłem pod Męką Pańską nachyloną nad gościńcem u wejścia do siola. Tuż pod krzyżem wiła się szarym skrzętem samotna ścież; odbiegła szosy i pruła wąską krajką darń wygonu. Wstąpiłem na koleinę z niewytłumaczoną ciekawością, dokąd też zawiedzie. Żelazna zaduma zagnieździła mi się w duszy, że nie byłem zdolny patrzeć na cudny wieczór, tylko z uparciem wbitym wzrokiem w szarzejącą u mych stóp drożynę dążyłem przed siebie bez celu. A ścieżyna to biegła przed się prosto, to kluczyła na prawo, na lewo, w zygzak, znów wyprężala się pod linię i bielala, bielala bez końca. Kiedy nagle podniosłem głowę, miałem o parę kroków przed sobą parkan jakiegoś wielkiego ogrodu czy parku.

„A, tak — pomyślałem — widocznie okrążyłem go po drodze i teraz zaszedłem z tyłu”.

Domysł mój sprawdził się, gdy po chwili spostrzegłem w parkanie małą furtkę. Była lekko odchylona. Pchany niepojętą siłą otworzyłem ją na oścież: stare, rdzą przeżarte zawiasy zgryzływie sucho, zgryzływie... Wszedłem do wnętrza. Uczucia, które wtedy wstrząsnęło posadami mej duszy, nie zapomnę nigdy. Rzecz szczególna: miejsce to wydało mi się znajome, nawet bardzo dobrze, choć byłbym przysięgł, że je pierwszy raz w życiu widzę. A przecież... Było w tym wszystkim coś więcej: oto po prostu czułem się u siebie, tj. właściwie na miejscu: znalazłem. Ale co, z tego sam sobie sprawy zdać nie umiałem. Równocześnie gwałtowny niepokój, który mnie już od miesiąca trawił, ustał nagle. Natomiast ogarnęły mnie pewnego rodzaju chłód i zawziętość. Czasem tylko na mgnienie lyskawicy przebiegał skrzepłą skorupę strach, że sztywniałem mrozem ścięty. Lecz i to wkrótce mijało, i byłem znowu prerażliwie spokojny.

Stałem w pośrodku ślicznego ogrodu. O jakich dwadzieścia kroków lśnił złotem, opalem, skrzył się tęczowym blaskiem modry staw. Właśnie ukośne zrzuty promieni zachodu, przesywając gęstwę drzew, spływały na ciche wody; od tych ogni zajęły się grzbiety fal i migotały skrwawionymi grzywami. Czasem ryba prysła złotą łuską, rozbryzując wodę w świetlane krople: powstawała stubarwna otęcz, igrała w słońcu przedziwnie i promienną kaskadą wracała w macierzyste łoże. Rozkoszne dreszcze marszczyły gładką powierzchnię i biegły wątlymi bruzdami do brzegów, skąd odbite, złamane rozsnuwały drgające otocze pian; te padały białymi błamami na nadbrzeżną murawę lub śliniły dłoniaste liści grzybieni. Wieczorny wiatr przeginał z wdzięczną lubieżą szypuły rokitnicy, która, chybocząc się, rozłożystym ruchem odsłaniała las bielejących spodem lodyg toczonych, bez skazy i węzłów. Od szuwarów szedł silny obrzask surowizny i mącił zmysły. Zasuta w sity łódka kołysała się niby tanecznicą na wpół pleśnią obciążonych burtach. Za mocniejszym podrywem fal miotala się i biła z szelestem o badyłe, usiłując wydobyć się na środek jeziora; lecz wtedy łańcuch przytwierdzony do steru, a drugim końcem do kółka u brzegu, rozpręzał zardzewiałe ogniwa, by po chwili, gdy wiatr się przyczaił, opaść z brzękiem na dno korabia. Gdzieś zapomniane wiosło wystawało z boku i wśród podskoków łodzi prało rozstępującą się wodę na spienioną miazgę.

Kępy grzybienia i lilii wodnych tułały się tu i owdzie zbłąkane, samotne.

<sup>14</sup>ligawka — fujarka; prosty, ludowy instrument dęty. [przypis edytorski]

Staw obiegał szeroki, piaskiem wysypany deptak, a dalej, w następującym z wolna cieniu nurzały się krępe jawory, lipy miodowym tchem wonne, leciwe, osędzieliną mchu otulone dęby-brodacze; pomiędzy krzami skrywała wstydliwie biały srom brzoza.

Z podcienia jesionów wychylał się zgrabnie z bierwion sosnowych sklecony chłodnik. Po poprzecznych kratkach pięło się dzikie wino z ciemnoczerwonym odcieniem liści.

Zaglądałem do środka: mały, dębowy stolik otoczony z trzech stron ławeczkami, na nim porzucona pełna smaku robótka, parę motewek atlasu, obok na ławce talerzyk z resztą ciastek, duża, czarnooka lalka w kącie; zapach perfumy w powietrzu czy z koronkowej chusteczki zapomnianej na stole.

Usiadłem znużony włóczęgą. Teraz dopiero zwróciła mą uwagę ukryta pod stosem nitek jedwabiu książeczka. Otwieram: pamiętnik, pismo drobne, kobiece, ostatnia kartka świeżo zapełniona...

„...mój Boże! Jaki też ten Stach kochany, lepszy nawet niż przypuszczałam niegdyś... Jutro jedziemy do... do... zgadnijcie!... Nie wiecie? To powiem: daleko, daleko, bo aż do Neapolu — do kąpiel. Zobaczę morze. Morze wielkie, straszne, piękne. Jedziemy na całe długie trzy miesiące. Ciocia Zdzisia była tam przed rokiem i powiada, że pobyt śliczny, upajający. Pocziwy Stach! On to wszystko dla mnie robi. Mówi wprawdzie, że mu wyjazd konieczny potrzebny dla zdrowia, ale ja już to wiem... Biedak tak się w ostatnich czasach namęczył... Lecz dziaduś obiecał przyjść z pomocą. Nieoceniony dziaduś! — Podobno jednak najbardziej z nas wszystkich uradowana Lutka. Gdy jej pierwszy raz powiedziałam, że wybieramy się nad morze, dziecina podniosła na mnie słodkie oczęta z zapytaniem, co to takiego morze.

— Widzisz, Luta, taka duża, duża woda, sto razy taka jak nasz stawek.

Klasnęła z radości w rączęta i odtąd już całymi dniami szczebiotała o morzu. Bo muszę tu wspomnieć, że moja córeczka bardzo lubi nasz staw i łódkowanie. Nieraz Stach w chwilach wolnych, gdy go już przestaną nachodzić ci nieznośni chorzy, siada z nami na łódkę i wiosłuje; mała z wielką uwagą przypatruje się ruchom wiosła lub też poważnie zadaje najdziwniejsze pytania...

Proszę mi wybaczyć bezładność, lecz te przygotowania blisko od miesiąca i gorączka spodziewanych wrażeń rozprzęgły mi do reszty panowanie nad nerwami. I tak może będę musiała przerwać pisanie na czas dłuższy. Prawdopodobnie nie zechce mi się zbierać myśli na riwierze, jak mówią „jasny brzeg” rozluźnia energię, sprowadzając omdlałą bezwładność. Mój Boże! Czemużbym się jej nie miała oddać — to tak słodko omdlewać... w ramionach Stacha...”

Chwyciłem za ołówek, którym to miejsce było założone i dopisałem niemal odruchowo: „Koniec”, a obok położyłem krzyżyk. Następnie wyszedłem z altany.

U wejścia krwawy blask uderzył mi w oczy: słońce zważyło się nad poziomem. Śpiesznie posunąłem się deptakiem.

Z tej strony grunt wchodził w staw ostrym dzióbem, tworząc trójkątną wystawę. Przylądek był skalisty, obrosły miejscami mchem i pleśnią. Z płaskiego szczytu na jednakim poziomie z resztą ogrodu i chodnikiem spadał modrymi warkoczami powój, opinał się po zboczach bluszcz, zwisając tuż nad wodą. Stok łagodniejszy z prawej wypuścił przez szczelinę krzak tarniny; dziki urok krzewu występował przedziwnie na szarym tle opoki. Cały przylądek robił wrażenie wypatrzalni. Nad samym krajem, zapewne dla wygodnego oparcia się, umieszczono żelazne balaski; były już stare i zjedzone rdzą, na pozór jednak trzymały silnie. Wstąpiwszy tu, oparłem się o nie plecami, by ogarnąć wzrokiem pyszny widok dalszej partii ogrodowej. Nagle uczułem zdradliwe trzeszczenie prętów; przestałem się opierać i obejrzałem je: cztery śrubki rozluźniły się zupełnie i groziły wymknięciem się prętów ze spojeń. Nie zakręcając gwintów, założyłem je wolno, po czym skierowałem się w aleję topól. U wylotu dopiero błyszczwały pokrwawiem zachodu okna rozkosznej willi. Ostrożnie skradając się, dotarłem pod domostwo zakryty krzewami przekwitłego bzu.

I wtedy spotkałem się twarzą w twarz ze szczęściem ludzkim, oglądałem je w jego dumnej krasie, promienne, widziałem je w całej bezwzględności, darzące szczodrą dłońią swych wybranych, zuchwałę, zwycięskie, bezczelne...

Na białym, kamiennym tarasie willi, zbiegającym w kilku stopniach ku ogrodowi widniało dwoje ludzi dwoje skończenie pięknych typów. Kobieta była jasnowłosa, o szafi-

Szczęście



rowych, mokrych oczach; rysy Madonny subtelne, pełne wyrafinowanego piękna świadczyły, że na nie musiały się złożyć całe wieki kultury i doboru. Krągła pierś wzdymała się niewymowną rozkoszą, oczy oszalałe miłością tonęły w źrenicach nachylonego nad nią mężczyzny.... A na ten szal miłosego zapamiętania lał złociste strugi konający dzień...

I tak stali wśród orgii światła i żaru piękni, szczęśliwi, jak bogi...

On szeptał jakieś namiętne, palące słowa, co krew żądzą burzą, w zmysłach pożogę niecą niesytą, pragnącą... Skłonił się niżej... ku ustom... poznałem doktora...

Dziecięcy śmiech zadzwonił z wnętrza i zaraz potem ukazała się w oszklonych drzwiach werandy śliczna, kilkoletnia dziewczynka prowadzona za rękę przez sędziwego sługę. Mała podbiegła, tuląc się do rodziców, podczas gdy służący, przystąpiwszy do pana domu, zamienił z nim parę słów. Doktor słuchał niechętnie i z widocznym roztargnieniem, wreszcie jednak, ociągając się, pożegnał skinieniem ręki żonę i córkę, po czym zniknął wraz z służącym w drzwiach domu.

Pani jakiś czas jeszcze wahała się z przymkniętymi oczyma w wygodnym bujaku, jakby przeżywając powtórnie rozkosz niedawnych pieszczot, następnie, ujawszy rączkę córeczki, poczęła zstępować z tarasu w głąb ogrodu. Na ostatnim stopniu niby zastanowiła się; trwało to przecież tylko chwilkę i wkrótce posuwały się matka i córka aleją topolową, pogodnie i pięknie ciszą wieczora. Jakaś nadziemską, anielską błogość jaśniała na twarzy kobiety rozkwitłej pełnią młodzieńczej urody, na licu dziecka, co napawało urokiem przyszłego czaru. Przeszły wzdłuż aleję i wstąpiły na deptak. Co parę kroków przystawała matka, pozwalając małej zrywać kwiaty bujnie rozrzucone na przepysznych klombach. Sama uszczknęła białą lilię i wpięła we włosy. Tak doszły do przylądka: matka chciała iść dalej, nie zmieniając kierunku, lecz dziewczynka upierała się, ciągnąc za rękę ku skalistej wystawie. Ulegając kapryswi dziecka, zbliżyła się ku balaskom...

Czułem, jak krew uderzyła mi legionem wściekłych młotów i kuła w skroniach. Stały tuż przy fatalnych prętach. Kobieta wzięła dziecko na ręce; wiotka jej postać czerniła się wyraźnie na tle mieniącego opalami stawu... wiatr wieczorny igrał w rozwianych włosach... Mała od jakiegoś czasu wpatrzona pilnie w jeden punkt na wodzie... wyciągnęła rączki:

— Mamo! Patrz... tam!...

Matka opiera się o balaski, przechyla... silniej, mocniej... suchy, rdzawy zgrzyt... sekunda wahania się, chwiejby, po czym krótki, urwany krzyk z dwóch piersi i... ciężki pluskot spadających ciał...

W tej chwili ukazał się na tarasie doktor. Spojrzał na staw: po toni włókl się długi, płowy włos... a obok raz mignęła jasna główka Lutki... potem wszystko znikło. Tylko głęboki lej wodny począł się skwapliwie zapełniać... wreszcie toń zawarła się, wygładziła i była wzdęta jak pierwej.

Wysunąłem się z krzewów bzu i stanąłem na środku alei oświetlony krwawo zorzą zachodu i spojrzałem na taras. Spostrzegł mnie... zajrzeliśmy sobie w oczy: długo, przeciągle... po czasie zwiesił ponuro głowę na piersi. Wtedy zanurzyłem się w mroki wieczora....

## Pomsta ziemi

W chacie wiédźmy Magdy dniało. Przez zmańcone kiry nocy przebiegał się tajonym, kocim chodem srebrno-szary świt, przesiąkał z wolna przez szyby, wlewał w świetlicę, majaczył po ścieli, rozpelzywał po toku, wnęcał w mroczne kąty. Okna, jakby bielmem zaszele oczy, poczęły lśknąć się i połyskiwać pod światło. Ale już i zza bliskiego boru rozległy się szumy a nawoływania, wszczęły dziwne pokrzyki, pohutnywania, radosne rozhowory<sup>15</sup>.

Czasem mignął płochliwym lotem nietoperz, huknął puchacz, lecz wnet milkł ze strachany. I znów nastawała cisza ogromna, zaparta, wyczekująca...

Daleko, daleko, na krańcu nieba coś, niby majak senny, różane przecucie poranka mżyło mglistą poświatą; pół skłonu niebieskiego pojaśniało od tego świtania, odrzuciwszy

Dom, Czarownica, Świt

Świt, Światło, Słońce

<sup>15</sup>rozhowory (z rus.) — rozmowy. [przypis edytorski]

mroki na północną połąć; wschód rumienił się coraz mocniej, wznagał w sobie i roz-  
taczał pogodne, skąpane w rumianym świetle zaranie. Oto już strzeliste smugi uderzyły  
spod ziemicy i rozprysły po nieboskłonie, a za nimi w ślad wynikła złota kula słońca;  
zakolebała się przez chwilę nad światem, a potem wtoczyła na zweselone niebo. Kilka  
jasnych promieni liźnęło ściany i powałę izby i rozkociło się po silnie ubitej podłodze.

W świetlicy roześmiał się wielki, biały dzień... Sosnowe dźwirze komory skrzypane  
i z mrocznej czeluści wysunęła się krasna<sup>16</sup> czarnobrewa. Lśniące, krucze włosy ściągnięte  
niedbale przy głowie czerwoną zawiązką staczały się po ramionach ku ziemi w miękkich  
zwojach. Ocieżała od snu, poprawiwszy zmięty w nieładzie gorset wyszywanej koszuli,  
przysunęła dziewczyna stojącą pod ścianą ławę do okna; usiadła cała skąpana w złocistym  
świecie poranka. Prawą ręką ujęła w połowie włosy i zaczęła je przegarniać grzebieniem.  
Promienie grały w bujnych skrętach, pławiły w gorącej rozkoszy ciężkie sploty, za każdym  
żywszym targnięciem twardej, jędrnej piersi dziewczuszej. Nuciała jakąś namiętą dumkę,  
goniąc wzrokiem po sperlonej rosą lewadzie<sup>17</sup>, co przez szyby widniała; z świeżej murawy  
biegło spojrzenie na szumiący świtową pogwarą bór, zwieszało się z konarów na konary,  
wnikało w czerniejącą tajemniczo głąb...

W komorze odezwał się suchy kaszel, a po chwili utykając na sękatym kosturze uka-  
zała się brzydka starucha. Młoda, nie odwracając głowy, nuciała bez przerwy. Wiedźma  
koso spojrziała na córkę i, coś mamrocząc, zdjęła z przypiecka pęk suchego ziela, pokru-  
szywszy je na drobne kawałki, włożyła do glinianego garnka i zasunęła w piec; potem  
rozpaliła pod spodem małe ognisko. Przez cały czas mruczała, bez ustanku wysuwając  
pomarszczoną, pokrytą brodawkami żuchwę.

Magda zeźlona była tego rana okrutnie. Nie wiodło jej się. Onegdaj Antosze ko-  
walowej tak odczyniła uroków, że kobieta ledwie co<sup>18</sup> nie zamarła i rozchorzała do „nie-  
pamięci”; a kowal sklął, napomstował i ledwo kija nie imał<sup>19</sup>. Albo Jagnie sołtysowej  
takiego zielska zadała, że dziewczki się niby błąd jakowyś czepił i przez trzy dni i nocy po  
chacie wodził.

Nie dziwota, że na takie leki ludziska poczęli odkazywać, spode łba patrzeć, a i prze-  
kpiwać. Byli i tacy, co z nią i gadać nie chcieli, jeno schodzili z drogi jak temu psu  
zapowietrzonemu, a wrótnie<sup>20</sup> do zagród zawierali<sup>21</sup>, gdy podle<sup>22</sup> przechodziła.

A przecież bywało drzewiej<sup>23</sup> inaczej; szanować — ta jej tam nikt nie szanował, boć  
zwyczajnie biesowa kuma<sup>24</sup> — aleć<sup>25</sup> tę ufność i wiarę duszną<sup>26</sup> mieli, która już sama  
przez się niejedną chorobę<sup>27</sup> z członków spędziła. Chodzili też do niej, chodzili, z całej  
wsi się zwlekali do znachorki: ten z nogą, ten z ręką, on<sup>28</sup> z bolącym krzyżem; inny do  
położnicy<sup>29</sup> przyzywał, że i tego dnia bożego nie stało<sup>30</sup>, a nieraz i dwa koło północks spać  
legiwała<sup>31</sup>. Rosłać<sup>32</sup> stąd chudoba<sup>33</sup>, czerwienice<sup>34</sup> w skarbonie przybywało, że i Rozalkę  
przyogarnąć mogła niby dworkę jaką, i sama za pierwszą gaździnę w siole<sup>35</sup> uchodziła.

<sup>16</sup>krasny — tu: piękny. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>lewada (reg.) — tu: polana. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>ledwie co — tu: o mało co; prawie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>imać się czego (daw., gw.) — chwytać się czego, brać się za co. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>wrótnie (gw.) — wrota, drzwi. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>zawierać (daw., gw.) — zamykać. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>podle (daw., gw.) — obok, wzdłuż, pod. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>drzewiej (daw.) — dawniej. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>biesowa kuma — związana z biesem, znajoma diabła. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>aleć (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: ale przecież, ale jednak.  
[przypis edytorski]

<sup>26</sup>duszny (daw.) — tu: duchowy, żywiony w głębi duszy. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>chorość — choroba. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>on (daw., gw.) — ów, tamten. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>położnica — rodząca kobieta. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>nie stawać — brakować, nie starczać. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>legiwać — daw. forma wyrażająca czynność wielokrotną a. zwyczajową; znaczenie: kłaść się. [przypis edy-  
torski]

<sup>32</sup>rosłać (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: przecież rosła, jednak  
rosła itp. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>chudoba (daw., gw.) — dobytek, majątek. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>czerwienice — tu: złote monety. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>sioło — wieś. [przypis edytorski]

A dziś? — Ledwo raz lub dwa razy na tydzień zajrzy kto do obejścia starej Magdy i o poradę zapyta, a i to w ślepią niby świdy wkręca, i na podziękę lichego groszaka rzuci.

Ale wiedziała, w czym przyczyna licha i odmiany, przejrzała wszystko do cna. Spoznała<sup>36</sup>, kto jej bruździł<sup>37</sup>. Ten zaprzepaszczony przybłąda, czarci syn, ten piekielnik przeklęty, co ni z nieba, ni z ziemi, bies ta wie skąd, wncił<sup>38</sup> się do wsi łońskiego<sup>39</sup> roku i niby król jaki osiadł na Jaworznym ostrowie, i ludziom wsiowym lby pozwracał. Ledwo się pojawił, aż tu gromadami poczęli się do tego zatraceni zlatywać a przeciskać, a bez mała na kolanach zaklinać, by pomagał w doli nieszczęśliwym. I uzdrawiał! I co za choróbska wyganiał precz, że nogą nie powstały w ciele. Bolaki, strupy, wrzody przemierze, co od lat gnoily i ropiały, że ciało marniało i kawalcami całymi gniło, i rozpadało się, strupieszale gnaty, ociekłe krwią spiekłą opuchliny... A powiadali wsiowi, że i złego, który rzuca ludźmi, przepędzał za światy diabłu na zgryzotę, ludziom biednym na pociechę, w tej żywota udręce. Mocnym go zwano, bo i siłę niepomierną miał, i krzepkość w duchu. I czuła Magda ku niemu i nienawiść taką, żeby go tymi spróchniałymi zębami na pasy ozdarta<sup>40</sup>, a tymi pazurami oczy wylupila — i strach taki, że ilekroć przypomniały jej się te oczy ciche i spokojne, sinym blaskiem świecące niby ta ustała woda wśród boru, to ziąb jej nieznośny chodził po starych kościołach i trząsł bez miary, że jako czerw podły zwijała się w kłębek i dygotała wyschłym szkieletem. Mocarz był, a ona, ot, zwyczajna baba, co ludzi zamawianiem i czarami tumani. Aleć właśnie dlatego postanowiła go zerzeć na proch, żeby i ślad nijaki po nim nie pozostał, ni cień marny. A sposób znalazła; pół roku się głowiła i nalazła: mądra baba była — nie darmo Magdą-Liszka zwano.

Zwiedziła<sup>41</sup> się o nim przeróżnych rzeczy, nasłuchiwała niejednej gadki, co głuchym posłuchem po siole błędziła. Bo z samym z bliska pogwarzyć trudno było. Chorych przyjmował tylko przed południem, a całą resztę dnia zaszywał się jak dziki zwierz w swym jaworowym ostępie i nie przypuszczał do się nikogo: ani starego Marcinka — przewoźnika, co mieszkał na przeciwnym brzegu i ludzi na ostrów przeprowiał. Sam i zawsze sam. Pono i w niedzielę świętą z kryjówki na świat nie wyglądał i Boga nie chwalił. Bezbożnik też to być musiał, bez pochyby<sup>42</sup>! Bo i pewno. Skąd by takiej mocy wziął, jeśli nie od biesa? Kochał go zły — to i mocą piekielną darzył.

Tak sobie na ucho gadali wsiowi. — Magda słuchała chciwie i pamiętała wszystko. Nie bardzo tam i wierzyła w czarty, diabły i inne paskudne ludzkie wymysły: kto wie, może tam co odmiennego w osierdzu, kto ta wie? Może tam inna władza<sup>43</sup> przewodzi, w żelaznych cęgach dusząc gnie, a serce w stal zakuwa? Kto ta przejrzy — odgadnie mroki te?... Może go duszna wiara krzepi niepochytniwa jak skała, rozrosła jak dąb, straszna mocą jak czar — wiara w coś, czego nie zna, lecz co było i w niej, i w innych, co tylko w zjawach sennych majączy, w niedośnionych snach mżeje marą bladą, mdlejącą — a na jawie rozplywa się, rozpryskuje, szczeza<sup>44</sup>...

Aleć nie był to niebieski zachwyt mieciony pod stopy słodkiego Zbawcy naszego, przepokorny, pokłon przed obliczem Boga — nie!...

Wiedzma bystre oko miała i za czujne ucho, by tu powinąć nogę...

A gdyby tak to wierzenie mocne rozchybotać, zakofysać jak dębem — rosochem<sup>45</sup>?... I dęby wichrom powolne podają wiśny<sup>46</sup> grzbiet... choć czasem i kret poderwie korzenie... Lepsza krecia robota, bo bezpieczniejsza, wczas uskoczyć można: dąb padając przygnięść może i robaka, gdy mu się gdzie nawinie...

I czart w niej zachichotał cichutko, oblesnie...

<sup>36</sup>spoznała — rozpoznała. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>bruździć — szkodzić, przeszkadzać. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>wncić się (daw.) — wcisnąć się. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>łoński rok (gw.) — tamten rok, poprzedni rok. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>ozdarta (gw.) — rozdarła. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>zwiedziła się — dowiedziła się. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>bez pochyby — ani chybi, niechybnie; na pewno. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>władza — władza, moc. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>szczeznąc (daw.) — umrzeć. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>rosoch — uschłe drzewo. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>wiśny (daw.) — gibki, giętki, uginający się, elastyczny. [przypis edytorski]

Pojrzała na córkę. — Cudna dziewczka była i dorodna jak we wsi żadna. Toż i parobcy tracili głowy, a wodzili się za lby<sup>47</sup> o nią. Zalotnica była okrutna, a o żadnego nie stała<sup>48</sup>: miłości w niej nie było nijakiej; niby te lody skrzące tęczową przyłudą pod słońko, gdy na odwieczerz zapada, migotliwe, uwodne, a zimne... Żarzył jej się w ślepiach czarnych ogień, aż iskry po czleku chodziły, kiedy pojrzała, ale taki płomień nie grzał, nie spływał słodkim żarem na duszę pragnącą; niecił jeno niesamowite żądze, palił i trawił we wnętrzu, póki wszystkiego nie spopielił, póki dusza nie dotlała...

— Rzuciłabyś precz raz to zgrzebło! Przegarniasz i przegarniasz bez miary. I bez to mi się urodna widzisz, że i drugiej naleźć trudno. A przecież jest ci pono jeden, co by się tej gładkości oparł...

Rozalka odwróciła się, pytająca...

— A Wawrzon Mocny? He?!.. Czarownik z ostrowu? No! Jakże?... Dałabyś rady?...

— Nie... Tak!... Na waszą głowę matko: tak! Żeby mu skonać u nóg miała jak pies, tak!... Zmogę go i wam oddam — tym włosem oplątam i o ziem miotnę, w staw zawlokę — tymi wargami się mu w wargi wgryzę i krwi utoczę, upiorem stanę!... Pomszczę was, matko, tylko dopomóżcie... Mądrzy jesteście: ja jeno urodę mam...

— Pójdiesz na Święty Jan, popołudniu, jak pierwszy minie żar... pójdiesz tam... He, he! Z wielką chorobą... wiesz?... Pokłonisz się, a jak łaskę najdziesz, nie daj się wnet!... Niby długo męcz: ociętna<sup>49</sup> woli jego bądź... aże rozgorze sam... Wtedy ostaniesz... a potem ja... He, he! Nabożna bądź, na drogę książkę dam... tyś piśmienna.. Ja też później zagładnę... wiesz? Ja przecież twoja mać!...

Stara z pianą na ustach, rozwścieczonym ślepiem tkwiła w twarzy zdumiałej i przelękłej Rozalki. — Zniżyła głos do syczącego szeptu i przez zaciśnięte zęby wyrzucała słowa zjadliwe jak trucizna, każące duszę niby trąd. A gdy zmożona zawiścią i jadem umilkła, a Rozalka poszła ogarnąć się do komory, postąpiła ku oknu, wytężając siwe, sowie oczy w stronę rzeki: wodziła nimi chwilę, zdając się czegoś wypatrywać; po jakimś czasie znała<sup>50</sup> znalazła: wpiła krogulcze pojrzenie w jedno miejsce... na twarzy czwarzył się długo szydny, urągliwy półuśmiech...

Jaworzny ostrów drzemał. Ujęty wodnym uściskiem rozwidlonej rzeki, zasuty po krajach<sup>51</sup> chaszczami, obrosły po urwistych brzegach zielskiem i mątwą na głucho, najeżył się kolcami tarniny, nastroszył drapieżną oprzędzą cierni i jeżyny.

Popołudniowy żar czerwcowego słońca drgał jeszcze rozognioną falą, ale już z wolna przygasał. Za to obsunęła się miękko na ziemię leniwa senność i omdlenie, które pograżyły w drętwoce dalekie siolo, padły na pola, pastwiska, osnuły drzemiącą nudą rzekę i ostrów. Wody bulgotały przyciszonym szmerem, lekko opluskując wysepkę; ciszę przerywał tajnym szeptem ciepły wiatr, co na wiotkich skrzydłach wionął stamtąd zza boru i przypadał mdłym, zdyszczym tchem pod znieruchomiałe drzewa... Sza... sst... z boru świst niosę — sepleni osika, szeleszcze liść siwy... sst... w spróchniałym dziuple świeci rdzawy czyr... sza!.. sst... świst niosę...

Zachwierutały wierzchołami jawory, skrzypnęły chropawo... wiatr zmarniał gdzieś w gąszczu olchowym...

W pośrodku ostrów bieląła spomiędzy gęstwiny chata. Pociągnięte na bladą barwę ściany błyskały na świat czarno lśniącymi szybkami okiennic. Pod okapem na przyzbie siedział człowiek, żując machorkę w zębach. Jawory rzucały nań głęboki cień, który posuwał się na strzechę chaty, ilekroć silniejszy powiew przyklonił im główce. Parę topól prulo błękit smukłym szczytem...

Odludnie było i samotno ni jednej ludzkiej duszy wokoło. Wszystko tu wybujało jakoś bez miary, wszystko przerosło... W okna zazierały wysokie, zwieszające zielone lby łobody, wokół pachniała ostro macierzanka... Potworne zielska rozpanoszyły się splątanymi dziko lodygami, poskręcały w żylaste, wiśne kłęby, że by sam zły nie rozsuptlił, przy-

<sup>47</sup>wodzili się za lby — bili się. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>stać o kogo (daw., gw.) — dbać o kogo; o żadnego nie stała: nie zależało jej na żadnym. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>ociętny (daw., gw.) — krnąbrny, uparty, zacięty, oporny. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>znać a. znać — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>po krajach — na krańcach, na brzegach. [przypis edytorski]

głuszyły ziemię. Do jaworów przywarły mokrą, wiecznie niesytą wargą dziwaczne grzyby i ssaly je, ssaly... Smętek się tułał cmentarny po tej przebudzonej dziedzinie, smęt wnikał do duszy, zaciągnął dziwną tęsknicą jasne, niby blaskiem prześwietlone oczy siedzącego człowieka... Zadużał się, zapamiętał... Był znajdą. Stary, na pół zdziczały smolarz znalazł porzuconego chłopca pod borem, ulitował się i zabrał do swej nędznej chatki pośrodku stuletniej kniei. Dobrze im ze sobą było w samotnej smolarni. Stary unikał ludzi, z którymi mało się zadawał, bo mu wśród nich było obco. Tyle że trzy razy na tydzień jeździł z mażą do sąsiedniego miasteczka, a i to kwapił się zawsze z powrotem do swego Wawrzonka. Mijały lata, chłopak urósł, zmężniał i smolarzowi zaczął pomagać. Dziwny też był z Wawrzonka chłopiec. Bywało, w gorące, letnie popołudnia, gdy stary zmęczony pracą zasypiał gdzie w cieniu, siadał na wielkim, kamiennym otoku pod dębem i wsłuchiwał się w ciszę puszczy. Błogość ogromna i moc schodziła nań od tej przebudzonej, naokół rozszumiewającej pogwarą drzew ostoi, przejmowała duszę, wstępowała w ciało. Wsyłał wszystkie jej mocne a życiodajne soki, siły żywotwórcze, które drzewa pędzą w górę, mnożą zwierza wszelkiego, rozplenają ludzi. Pił spragnioną wargą ten cudowny odwar, co uzdrawiającym zapachem z ziół sielskich tryszcze, rozkoszą spija. Wchłaniał tę miodosytną mannę, co życiem darzy i zdrowiem, co w dziewczkach ogień rozpala, że pomiotować chcą, co w mężach żądę zażęga, starców sili. Więc że nań błogosławną łaskę swą siewała, mocą nadziała — kochał tę mać przyrodę, kochał i czcił; wszystkim mu była: piastunką, rodzicielką.... Bogiem. Poganin był. Wierzył w nią wiarą dziecięcą, taką, co nie rozbiera, nie rozważa, jeno z ufnością bezkresną składa głowę na umiłowanej piersi, bo pokorna jest i kochająca. I tać wiara gorąca a prosta, to oddanie serdeczne, pokłonne moc ową i siłę w nim wzmożyło. I tak zwierzał się z nią coraz krzepiej, przepajał, przenikał. Nie było zioła, którego by mocy nie znał, nie było otrui, przed którą by go nie przestrzegło. Raz go smolarz zeszedł na tym, jak objąwszy pękaty, kłakami mchu zarosły jawor, przytulił się do pnia z czcią wielką i miłością. Innym razem padł twarzą na ziemię przed wiekowym dębem i tak przeleżał aż do zmroku; a gdy wrócił na odwieczny, jaśniał dziwną jakąś pogodą i spokojem. Stary zdumiony zapytał: „Cóż ci to?”

— Modliłem się i moc zesłała na mnie — odparł Wawrzon i nic już więcej dnia onego nie chciał odpowiadać.

Od tej chwili poczęły się w smolarni dziać różne dziwy. W parę dni potem stary, rąbiąc drzewo w lesie, zaciął się silnie w nogę i krwią broczył. Gdy Wawrzon przerażony podbiegł i dotknął rany, krew przestała uchodzić, a rana zaczęła się rażno zasklepiać. — W rok potem wybrali się obaj na kiermasz do Psiej Wólki. Z powrotem spotkali przy drodze jakiegoś nędzarza owrzodzonego na całym ciele ropiącymi krostami. Wawrzon kazał mu iść za sobą do smolarni, gdzie nieszczęśliwy pozostał przez cały tydzień. Codziennie w pierwsze ranki wywoził go Wawrzon w las; tu kazał stawać pod jakim drzewem, po czym wyciągał rękę i wodził nią wzdłuż ciała. Wtedy strupy rozwierały się, wrzody, co lata całe jątrzyły, dojrzywały gwałtownie, wyrzucając zapiekłą ropę. Po tygodniu żebrak porzucił, zdrów całkiem, z błogosławieństwem ustrońną smolarnię.

Wieść o uzdrowieniu rozniosła się po okolicy; niedługo było i czekać, aż tu z postronnych siól i slobód zgarniali się ludzie pod ostępem smolarzy. Wawrzon serce miał litosne i miękkie jak u gołębia, chciał biedakom dopomóc, więc nie odmawiał. Od ranka do wieczora pracował bez wytchnienia.

Tymczasem zmarło się staremu; sękaty jesion, zwałając się pod ośnikiem drwala, przyniótł go na śmierć. Wtedy Wawrzon rzucił smolarnię, rzucił ostęp i osiadł na Jaworzonym ostrowie, gdzie i samemu, i ludziom było dogodniej. Do południa przyjmował chorych, a kiedy słońce przesunęło się poza środek niebieskiego skłonu, ostawał sam.

Rok już tak przebywał na swym odludziu. Umiłował smętek wysepki, wgrzążył się w jej ciszę. W srebrne świtanie poranków wstawał z łoża i wychodził przed chatę, by z zawsze tym samym zachwytem, z tym samym rozmodleniem w oku podziwiać cud promiennego poczęcia. Co wieczór żegnał rozognioną żrenicą zasuwające się za leśne obrzeża słońce, spijał chciwą wargą rośną łaskę nieb.

Tymczasem chwasty koło domu jego rozrastały coraz bujniej, wzmagały się, tężniały. Nie ruszał ich, nie plewił. Więc wreszcie sięgnęły po strzechę, zawlokły ściany, spętały komin... I tak zakryły chatę, opanowały ścieże. I Wawrzon wśród nich zanikł. Już do siebie nie należał: był częścią ostrowu, z którym go spoity niby żyłaste, napęczniałe krwią ścię-

gna bulw, łodyg, kłaczów. I rozplynął się w tej rozszalałej skrętami oplączy, zaprzepaścił w potwornym przeroście.

Dzierżyły go przemożne spoiwa; zerwać je — trzeba by samego zniszczyć, skruszyć na proch, bo już za głębokie w duszę zapuściły zagony; wyrwać — krwią by ociekł serdeczną...

Czasami tylko nachodziły go dziwne zachcenia, brała bezbrzeżna tęsknica lecieć gdzieś na kraj świata do ludzi, do słońca, przygarnąć do piersi szerokiej coś, co jak ptaszyna wdzięczna trzepoce, co wiotsze niż ten oczeret zwiewny, kraśniejsze niż kaliny jagody — otulić tułaczą głowę samotnika czymś, co nad len miększe, nad miętę wonniejsze — nasycić spiekłe usta czymś, co nad miód słodsze, co z lipy kwietnej przejasną oskołą się sący...

Drzemała w chmurnych wnękach duszy jeszcze niezaspokojona żądza, rozkołysująca od czasu do czasu palącym wirem krew, zasobna mleczem. Mocny był, władny, niezmożony jej niedopełnieniem...

Wawrzon mocny nie zaznał niewiasty...

Wtem marzenia pierzchły. Przed nim o parę kroków stała smukła dziewa, patrząc na poły z pokorą, na poły z żarem utajonym w głębi skrzającej, ciemnej żrenicy.

Wawrzon zmarszczył się: nie lubił, gdy go nawiedzano nie w porę.

— Wybaczcie, Mocny — jęła miękim jak ligawka<sup>52</sup> głosem — wybaczcie nieszcześliwej... ale już końca tej udręki, co ciało młode toczy, przejrzyć nie mogę. Więc żeście władni, że w mocy waszej zło pognębić, złą dolę przemoc, przyszłam i do nóg wam się ścielę proszalna: wróćcie mi zdrowie, oddajcie siły, co gdzieś w zaturę poszły, zlecicie mi ciało... Bo zły jakiś opętał mnie i o ziem rzuca, pianę toczy, po urwiskach wodzi, że już ni spać, ni pożywić się, ni wytchnąć, ni żyć... Oj doloż moja, dolo zaprzepaszczona...

Zmiękł i podniósłszy klęczącą Rozalkę, kazał bystro patrzeć sobie w oczy. Wzniósł rękę ku skroniom dziewczyny, a potrzywszy chwilę w niedużej odległości, począł ją zniżać wzdłuż ramienia. Doszedłszy do łokcia znów wstrzymał się. Z zaciętych ust wypłynął urwany rozkaz:

— Drżj!

Rozalka stała nieporuszona, tylko w kątach niedomkniętych oczu tlił się jadowity błysk. On jednak był cierpliwy; przebiegł ręką po ramieniu lewym do końca i przeszedł na prawe. Dziewczyna nie drgnęła. Wpiła się tylko w twarz znachora dzikim, namiętym spojrzaniem i czekała, rychli<sup>53</sup> przyjdzie pora...

Lecz twarz Wawrzona była dotąd jak kamień twarda i zimna. Może tylko brew zjeżyła się silniej, może moc skupiła się zwarciej... Teraz położył prawą dłoń na głowie a kłykiem lewej ześlizgiwał się w poprzek ciała...

Rozalka uczuła lekkie drżenie, ale broniała się jeszcze. Nie była przecież opanowana biesem; widziała już tych nieszczęśników, jak w okrutny tan się puszczają, w kłębach wiją, w płasawicy szamocą. Lecz ona zdrowa — jeno mać przykazała nawiedzoną zmyślać...

Nie wiedziała ni Magda, ni córka, że tacy, jak Wawrzon i ze zdrowym dziwnych rzeczy dokażą; tylko że wtedy żmudniej i dłuższego czasu potrzeba. Tymczasem nie dawała się. Wawrzon w miarę mienił się coraz dziwniej. Zwykle spokojna, pogodna twarz przybrała posobę jakiejś zażartej zaciętości i uporu. Żył na czole wystąpiły w grubych, sinych węzłach, oko jarzyło się wewnętrzną pożogą: rozjątrzyła go ta ociętna dziewczka — chciałby ją zmóc, pokazać moc swą, do nóg zwalić drgającą... Szyd, co wałęsał się w kącie kraśnych warg podżegał go klującym ościeniem...

Do tego przyłączyła się żarna tęsknota posięścia tej pięknej czarnobrewy, tej pierwszej w życiu, jedynej, posięścia przez moc, przez władę.

I tak zmagali się nawzajem odwiecznym bojem męża i niewiasty. — Lecz on już brał górę; już chybkie drgania wyginały ciało Rozalki, już ramiona poczęły się skręcać, oczy obłądnie obracać — rżęсны, zimny pot ściękał po krucznych warkoczach...

Ostatkiem woli zebrałszy się w sobie wyrzuciła przez ściśniętą niby kleszczami krtań:

— Zelżyj! Ja twoja!... — i obsunęła się cicho na murawę...

<sup>52</sup>ligawka — fujarka; prosty, ludowy instrument dęty. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>rychli — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy rychło (tj. czy szybko). [przypis edytorski]

Choroba, Kłamstwo,  
Lekarz, Natura, Prawda,  
Siła

Chwycił ją krzepko, przygarnął do włochatej piersi i jak dziecię poniosł do chaty z szepem:

— Pójdź, dziewczko umiłowana ty moja, pójdź...

Znikł w otworze drzwi, co się za nimi zaparły... Zasepleniły drżące liście osiki, rozgwarzyły topole, jawory... osędziały, usiany wargami hub klon wyprężył jeden z swych przestronych konarów i spłynął młodą zielenią na strzechę — położył ciężką, ojcowską rękę jakby błogosławiąc temu, co się spełnić miało...

A reszta drzew wtórzyła przyciszoną gędbą<sup>54</sup>...

---

...Jezus tedy, gdy ją ujrzał płaczącą i żydy, którzy z nią przyszli, płaczące: rozrzewnił się w duchu i wzruszył sam siebie. — I rzekł: „Gdzieście go położyli?” — Powiedzieli Mu: „Panie, pójdź a oglądaj”. I zapłakał Jezus. — Mówili tedy żydowie: „Oto jako go miłował” — Jezus tedy rozrzewniwszy się zaś sam w sobie przyszedł do grobu. A była jaskinia, a kamień na niej był położony. Rzekł Jezus: „Odejmijcie kamień”. — Rzekła Mu Marta, siostra tego, który był umarł: „Panie, juści cuchnie, bo mu już czwarty dzień”. — Powiedział jej Jezus: „Zażemci nie rzekł, iż, jeżeli uwierzysz, oglądasz chwałę Bożą?” — Odjęli tedy kamień. A Jezus, podniósłszy oczy swe w górę, rzekł: „Ojcze, dziękuję Tobie, żeś mię wysłuchał. — A jamci wiedział, że mnie zawżdy wysłuchujesz, alem rzekł dla ludu, który około stoi, aby wierzyli, iżes Ty mnie posłał”. — To rzekłszy, zawołał głosem wielkim: „Łazarzu, wynidź z grobu”. I natychmiast wyszedł, który był umarły, mając ręce i nogi związane chustkami: a twarz jego była chustką obwiązana. Rzekł im Jezus: „Rozwiążcie go i puśćcie, aby szedł”. — Wiele tedy z żydów, którzy byli przyszli do Maryi i Marthy, a widzieli, co uczynił Jezus, uwierzyli weń...

Rozalka opuściła znużona książkę i zamilkła. Magda z obłudnym zachwytem podnosiła wypłowiałe oczy na obraz zawieszony nad wejściem, wyobrażający „Rozdzielanie chlebów”. Z obrazu przerzucała krótkie, świdrujące spojrzenie na zamysłoną twarz Wawrzona, by wnet zerknąć dziwnie jakoś ku córce. W izbie zaległa cisza, przerywana bzykiem much lub buceniem trutni dochodzącym ze dwora

Wawrzon siedział w cieniu, w kącie świetlicy bez ruchu, bez słowa. Od łońskiego lata zmienił się bardzo: wychudł, szerniał i jeno oczy mu niesamowicie lyskały.

Jakaś ogromna troska osiadła na ongi spokojnym czole i wryła głębokie koleiny. Szczęka dolna wysunęła się jakoś niepomiernie ku przodowi, nos zaostriął jak u rabego sępa dziób. Sposępniał też, sponurzał, do nocy zły podobny. Jeno ilekroć na Rozalkę pojrzał, rozpogadzał się, weselał, ale nie na długo, bo zaraz popadał w tępą zadumę. Oto już rok zbiegał ku końcowi od czasu, gdy weszła w progi jego pustelni. Weszła jak płomień czerwony, jak żagiew i zadymilo wszystko pożogą. Te noce upojne rozkoszą, te podrzuty ciał, spiekle pocałunki... Ta tęsknica w przewlekłe ranki, spełniana w wichurze szału w długie, odurzające popołudnia...

Jeno czasami jak łysk, jak oczymgnienie przebiegał się w niej niby kłam i mrozem pierś skuwał. Wtedy ostry ból wżerał się chłodnym krajem i kaleczył okrutnie... Ale jedna pieszczota jej toczonych rąk, jedno przeciągłe pojrzenie roztapiały ścięte zimnem na chwilę serce. Kochanicą mu była, promykiem jasnym w jesienną szarugę, wszystkim... Poszedłby dla niej jak ów Jontek z klechdy za siódmą górę, za siódmą rzekę po dzban wody żywej dla umiłowanej. Nie bronił niczego, ustępował najmniejszej zachciance. — Wielkie też, dziwne poczyniła zmiany w jego chacie. Na pustych ścianach świetlicy porozwieszała przeróżne obrazy, których zrazu nie pojmował. Przed jednym z nich co soboty paliła lampkę olejną i rzucała się na kolana, a to tak, aby on widział. Zrazu przyszło mu to dziwno, potem jął dopytywać, dlaczego przed tą niewiastą z dzieckiem u piersi pokłon składa.

— Spoznasz inną porą — zbywała go tajemniczo.

I obejście zmieniło się bardzo. Powyrywała łopian, co mszyste liście rozwiódł dokoła, wypełła mątwę, wykorzenila oset... A wszystko z taką zaciekłością, z takim zawistnym żarem, że aż dziw imał i trwoga. Widział, jak trzebiła mu rodzimą dziedzinę i nie opierał się, choć z każdym wyplenionym korzeniem jakby mu własne trzewia targała. Zaciął zęby z bólu i zmógł się... Na trzebnisku zasadziła wiosną warzywa, kwiaty... pod lato wykłuły

Ogród, Kobieta, Mężczyzna,  
Rośliny, Przemiana

<sup>54</sup>gędbą (daw., gw.) — śpiew. [przypis edytorski]

się zielone pąki i zaścieliły świeżą runią spulchnione podścielisko. Wyrósł nowy, młody świat i stłumił stary, wykarmiony na jego sokach.

W niedzielę i święta przychodziła stara Magda i w troje dożywali wieczora. Rozalka wydobywała ze skrzyni jakąś poźółkłą księgę i czytywała: dziwne rzeczy, niesłychane... O wielkim, władczym Duchu, który tchem swej woli wyrzucił z mętów przedwiekowych rodzajną ziemiecę, o pierworodnym grzechu, o ludzie wybranym Izraela — o proroku białym i czystym, o cudotwórcy, co ludzi wskrzeszał, jemuże na imię Jezus z Nazaretu, o męce Pana, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu, o Najświętszej Paniencie...

Wawrzon słuchał. W pierwszych tygodniach, zdało się, słyszy jedną z tych starych gadek, jakie po ludziach chodzą, staruchy przy wiatrach zimowych gędzą. Wywiodły go z błędu, wskazując na wiarę u innych... Począł rozważać. — Jakże więc, i ta moc, którą braci dźwigał, nie była z ziemi — rodzicielki, bezlicznym ziołem krasnej, borami szumnej, wodami wilgnej?... Jakże — więc i ta władza jasnowidza, którą ludzkie bolenie przezierał, nie z łona tej matki poczęta, co w radosny krzepiącą się siłą słońca jarz rześnym pokotem zlega, kwieciem wonna, mlekiem ciekąca?...

I żał bezbrzeżny, i zawód zalały duszę. Dawna wielka wiara ostygła, gasła... Jakżeż marny i nikły wydał się ten wielbiony świat, ten Bóg z zarania życia... Wszczęła się rozkielznana walka. Było w nim jakby dwóch ludzi, dwóch śmiertelnych wrogów; czuł, jak mu się przesuwały w załomach duszy stare pokłady wierzeń niby bryły skalne wyparte ze ślepych dziedzińców podziemia, rozpryskują w odrzutki i opadają zalegającym miałem na dno... Tknięty przeczuciem śmiertelnie ranionego zwierza uciekał, skrywał się w najnie-dostępniejsze zakątki wyspy. Nie pomogło. Wciąż we snach majaczyła piękna, pociągła twarz Tego tam, w świetlicy na obrazie, Pasterza dobrego i cichego. I już nie wzbraniał się słuchać; chorzał tylko coraz częściej i moc tracił. Zawiesiło mu nad głową trupią rękę jakieś straszne widmo i groziło pomstą. Miał je tuż nad sobą, że bał się oczu podnieść, myślą ściągnąć; jeno nie wiedział, jak przyjdzie i dlaczego, ale że już nie długo czekać — to pewna...

Wyszli ze świetlicy przed chatę. — Miało się pod nieszpór. Niedzielny, rozpogodzony świat. Na zachodnim zrębie nieba parę wrzecionowatych smugów pławiło brzegi w rozżagwionym skonie słońca. Czarne klucze kawek, wrażając się dzióbem w modrzejący błękit, rysowały w ciemnych, rozbieżnych szlakach. Na ziemię zstępowała rosa wieczorna i rzeźwiła trawy po widnokreżnych pastwiskach i łąkach...

Od siola nadpłynął rzewny odzew sygnaturki, by oznajmić ludziom pobożnym, że oto pora na uczczenie tej chwili, kiedy Anioł Pański wieść przyniósł Przczystej Maryi, jako<sup>55</sup> pocznie syna...

Magda z Rozalką uklękły zwrócone tam, gdzie spomiędzy gałęzi tlił zachód...

— Anioł Pański zwiastował Maryi... — poczęła głośno wiedźma, a słysząc jeno głos córki, jak wtórzył, mocniej już, z groźbą w oczach wwiercając się w chmurną twarz stojącego Wawrzona powtórzyła wezwanie... Zachwiał się, jak z nóg zwalony przygiął kolano i głosem głębokim, choć znękanym odpowiedział:

— I poczęła z Ducha Świętego...

Potem modlili się już wszyscy razem. Skończywszy „Zdrowaś”, dźwignął się ciężko i rzekł cichym, dobrym głosem:

— Pozdrowilem Panienkę — jeno tu... we wnętrzu coś się do cna załamało...

---

...Podjął po raz trzeci. Wziął dziecko z rąk matki i zaczął mu nacierać ciemię. Kiedyś wystarczyło lekkie zgięcie palca, by podobne guzy rozewrzeć. Dziś nie chciały ustąpić, owszem, zdawały się jeszcze twardnieć pod naciskiem dłoni. Chłopak stękał i jęczał, na nogach wzdymały się krwią nabiegłe ociekliny...

Po ludziach zebranych w olszynie przeszedł głuchy pomruk; patrzyli zdziwieni, przerażeni, oczom nie wierząc. W gdzie jakich oczach migotało szyderstwo i zła radość. Ceglasty rumieniec wypełził na zbieleń policzki Wawrzona. Minęły już dwie godziny od czasu, jak zajął się dzieckiem. Postanowił skończyć. Naprężył się w sobie, skupił wszystkie siły i ujął w obie dłonie jego głowę: darmo... leżało obojętne, nieczule na to niegdyś

---

<sup>55</sup>jako — tu: że. [przypis edytorski]



tak piorunujące dotknięcie. Pół martwe, zsiniałe oddał matce. — Poczęła nań miotać najjadliwsze obelgi, aż ją odprowadzili starsi. Wtedy rzekł do okalającej go gromady:

— Ostawajcie z Bogiem, ludzie dobrzy, i poniechajcie mnie... skruszyła się moc moja...

Odeszli. Zdalea jeszcze słychać było szmer głosów, brzęk odkręcanego łańcucha, raz urągliwy śmiech zahuczał... Potem miarowy plusk wiosel i... zgłuchło...

Wawrzon pozostał sam.

— Spełniło się... — powtarzały bezdźwięcznie wargi.

— Spełniło się... — zagwizdał w przelocie wiatr i utknął w sitowiu...

— Spełniło się... — zaszemrały wody i pocięły dalej...

Nieznosny ból zagnieżdził się pod czaszką i parł o ściany. Czasami myślał, że mu ją w spoiwach rozsądzi, w szwach porozluźnia. Olbrzymi dzwon zawiesił ktoś i bił spiżowym sercem na trwozę. Rozpętała się w głowie potworna wirownica i gnała, gnała bez tchu, bez postoju... Rozszalałe sprychy ociekały kipiącą krwią, co siklawą<sup>56</sup> zalewała mózg...

Z trudem opanował się. Osądził jasno: tamto... stracone!... Bezpowrotnie, beznadziejnie. Trudno... dola chciała... Została ona...

Hej! Hej! Dziewo umiłowana, tyś mi moc zabrała, stopiła w błędnym ogniu niesytych żądz, krzepkość duszną zwlekła, zwarzyła krew... Hej! hej!... Przyłożyła biała rączka topór pod zielony dąb... Niech tam!.. Byleś mię jeno miłowała... Ja bym dla cię w kawalce się pokrajać dał... Niech tam!... Byleś ty mi się nie odmieniła, miłośnico moja!...

Teraz już ostaniemy razem czekać dnia onego, kiedy kostucha — matula w dziewosłęby przyjdzie... Ja cię na rękę nosić będę, gołąbko biała, tak mocno przyhołubię... Jeszcze starczy sił... *pożrzyj*<sup>57</sup>! Przeszronne piersi mam, jest się gdzie przytulić... Ja ci spod nóg ciernie i osty wyplewię, kamienie na miałki zetrę piarg i drogę kwieciem uścielę... Jeno rękę daj!... Jać w przygodzie stanę — w przyjazne skryję ramiona... jeno mi się zwól!... Zorzo ty jasna!...

I poszedł ku chacie żądny pocałunków, paru dobrych słów. Przed chatą nie było nikogo. Żaden szelest nie nadchodził z wnętrza... śpiesznie wstąpił w świetlicę. Była pusta i głucha. Rozglądął się po ścianach i zadrżał!... Obrazy poznikały... W miejsce nich wyzierały gwoździe, najeżając czarne głowy... Wyciągały ku niemu swe długie szyje, zbliżały tuż pod same oczy i znów drocząc się wślizgiwały w deski...

Naokoło znać było wielki nieład. Skrzynia z rzeczami Rozalki rozdarta na oścież przykro uderzała w oczy opustoszałym wnętrzem. Parę łachmanów wałało się po toku, w kącie rozbite w pośpiechu źwierciadełko... pod ławą od wczoraj wypuszczona z rąk żółkła książka...

Z rozdzierającą ciekawością patrzył dalej... Na progu porzucona wstążka krwawiła jedwabiem...

Przeszedł w sień. — Drzwi z tyłu wywalone z taką gwałtownością, że górna połać wypadła z zawiasów i zwiśla...

Na ryglu strzępy zapaski...

Pojął...

— Odbieżała... odbieżała...

Wrócił do świetlicy. Na stole leżał wykręcony w węzownicę sznur, którym Rozalka zwykła ściągać skrzynię...

— To dla mnie...

Bezmyślnie wziął go do ręki, ułożył pętlę, zawęził w supeł. Stanąwszy na zydłu, przytwierdził pętlę do belki, założył na szyję... pchnął zydel daleko pod okno...

W izbie zarzęziło...

Ucieczka, Samobójstwo,  
Mężczyzna, Kobieta, Dom

---

Dobiegało południe. Cicho było na Jaworzny ostrowie, cicho i sennie. Żar lał się strugami z poblądłego nieba. W skwarnym powietrzu przeciągały bez głosu rozognione południce. Ciepły ciąg szedł ze dwora, wnącał się do chaty, przepływał wąską sień i wypadał drugą stroną w sad... W górze strażowały zeszywniałe drzewa. Po rozpadlinach,

<sup>56</sup>siklawą — wodospad. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>pożrzyj — spojrzj. [przypis edytorski]

w szparach gruntu popadane go w drobne żyły, po wykrotach słońcowały się pstre zwin-ki... Para padalców wysunęła się z kryjówek i pozwijała oślizgłe przeguby w dwa czernie-jące na piasku pierścienie. Tu i tam świerszcz jęknął, konik zaćwierkał... W nadrzecznych krzaczach tęsknił samotny głos wiwilgi...

## Szalona zagroda

W poblaskach stoję słonecznych, w strugach się pławię pokrwawia<sup>58</sup> — a wichry nade mną tak smętnią, a wichry tak kwilą nad głową...

W step patrzę pusty, rozległy, w step patrzę zielskiem zmacony — a kruki się żalą nade mną, a kruki nade mną tak płaczą...

Samotny stoję w rumowiu, bezdomny ojciec bezdzietny — a rozpacz po gruzach się tłucze, a rozpacz po szczybach się slania...

Na kresach chmury się przęzą, na skłonach, chmury się stałą — dym płachtę zarzucił na oczy, w krtani więzgną<sup>59</sup>, wrzynają się sadze...

---

Wczoraj wróciłem z zakładu: nie jestem już szkodliwy. Niech i tak będzie. Lecz przy-sięgam, że każdy na mym miejscu, w podobnych okolicznościach doszedłby w końcu tam, gdzie ja...

Nie jestem chory i nie byłem nim nigdy — nawet wtedy... tak... nawet wtedy. To, co zrobiłem, wynikało nie z jakiegoś zbroczenia, lecz było konieczne, jak nimi są przejawy żywiołów, jak śmierć i życie — wynikało ze środowiska z oczywistością niezachwianą. Nie jestem i nie byłem nigdy psychopata!

Natomiast byłem skończonym sceptykiem; nie przywiązywałem się do żadnej zasady czy doktryny — nie ulegałem nigdy sugestii. Pod tym względem stał za mną na wprost przeciwnym biegunie mój przyjaciel K., którego wówczas uważałem za człowieka niezwykle przesądnego. Jego dziwaczne, niekiedy obłąkane poglądy i teorie wzbudzały we mnie stale gwałtowną opozycję, a stąd ustawiczne spory, kończące się nieraz zerwaniem na czas dłuższy naszych wzajemnych stosunków. — A jednak zdaje mi się — nie ze wszystkim<sup>60</sup> się mylił. Przynajmniej jedno z jego zapatrywań na mnie się fatalnie spełniło. Może dla-tego właśnie, że przeciw niemu najzawzięciej występowałem, jak gdyby przeczuwając, że mu posłużę za formę objawienia się.

K. utrzymywał, że w pewnych miejscach muszą się odbyć pewne rzeczy; innymi sło- wy, że są pewne miejsca, których charakter, natura, dusza oczekuje spełnienia się wy- padków, zdarzeń z nimi związanych. Nazywał to „stylową konsekwencją”, chociaż czułem w tym wszystkim pierwiastek panteistyczny. Cokolwiek bądź jeszcze pod tym rozumiał, nie zgadzałem się z zapatrywaniem podobnego rodzaju, unikając wszelkiego choćby cie- nia tajemniczości.

Myśl ta przecież nie dawała mi spokoju, a chęć wykazania jej bezpodstawności nę- ciła nawet po rozstaniu z K., z którym się już więcej nie spotkałem w życiu. Niedługo potem miałem zaspokoić moją ciekawość. — Stało się... i wyszedłem stamtąd w mym trzydziestym roku życia osiwiła jak starzec i złamany na zawsze. Włosy mi się jeżą na wspomnienie tej chwili strasznej, niezapomnianej, co zdruzgotała mnie doszczętnie.

I nie wiem, czemu jeszcze żyję i na co, i że w ogóle po tym żyć mogę. Bo w pokutę nie wierzę; zresztą nie czuję się winny...

Choć krwawo słońce zachodzi i szkarłat na głowę mi bluzga — nie czuję się katem...

Tylko za długa agonია, zbyt się pastwi nade mną.

Choć pod wspomnieniem arterie tężeją, a w mózgu przewalają się kałuże krwi — czyste mam czoło i trupioblade ręce...

---

<sup>58</sup> *pokrwawie* — krwawej barwy blask (tu: zachodzącego słońca). [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *więzgną* — forma 3.os. lm: więzną (od czas. więznąć). [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *nie ze wszystkim się mylił* — dziś popr.: nie we wszystkim (...). [przypis edytorski]

Tylko zbyt się odwleka mój koniec i za jasno wszystko rozumiem, za bystro... Dziwnie jakoś zaostrzyła mi się uwaga. Chłodny jestem jak stal i jak stal wrzynam się we własne tętnice...

A słońce gra, a słońce purpurą obrzuca...

Ociekam krwią, serdeczna krwią...

Byłem ojcem dwojga dzieci, naszych biednych dzieci. — Agnes kochała je do szaleństwa, więcej może niż mnie. I porzuciła przedwcześnie. Zmarła parę lat po przyjściu na świat młodszej dziewczynki.

Agnes moja! Moja słodka Agnes...

Śmierć ta rozstroiła mnie bardzo. Nie mogąc uspokoić się jednostajnym trybem życia, zacząłem podróżować wraz z dziećmi, które mi były jedyną osłodą tych czasów. Dla oderwania myśli od bolesnych wspomnień czytałem dużo, przerzucając się kolejno w tematy najrozmaitsze, od najbardziej wyuzdanych i brutalnych do pełnych mistycyzmu i symboliki. Przy tym nie zapominałem o K. i jego teoriach.

Pewnego razu zatrzymaliśmy się na czas dłuższy w mieście \*\*\* w zamiarze spędzenia tu miesięcy jesiennych. Samo miasto z cechami typowymi większych środowisk kultury i pełnym nerwem stolicy przedstawiało dla mnie najwyższy urok przez swe piękne okolice.

Do jednej z nich wybrałem się z dziećmi dorożką w pogodną, sierpniową niedzielę. Wypadłszy poza obręb miasta, przesunął się pojazd między dwoma szeregami topól, przeciął tor kolejowy i pomknął między pola. Byliśmy już pół mili za miastem, gdy po prawej stronie gościńca, nieco w głębi na pustkowiu zwróciła mą uwagę dość dziwaczna na pierwszy rzut oka budowla samotnie wzniesiona pośród zaniedbanego sadu i zupełnie niezamieszkała. Zatrzymałem dorożkę i sam poszedłem oglądać budynek.

Gdy zaciekawiony począłem rozpatrywać szczegóły, nagle spoza stosu rumowia przed chatą wysunęła się zawiędła starucha i, z lękiem przypadłszy do mnie, szepnęła:

— Panie rzućcie ten dom, póki pora, rzućcie, jeśli wam Bóg i dusza miła!

Po czym śpiesznie rzuciła się w bok i znikła w burzanach<sup>61</sup>.

Zajście to zaostrzyło tylko moją ciekawość i podnieciło chęć rozwiązania zagadki, jeśli w ogóle można tu było o czymś podobnym mówić. Po powrocie do domu miałem już plan gotowy: postanowiłem bezzwłocznie sprowadzić się do opustoszałej zagrody. Wydała mi się jakby stworzona do sprawdzenia wywodów mego ekscentrycznego przyjaciela; jeżeli miały jaką rację bytu, to tu powinny ją ujawnić. Uderzyła mnie mianowicie wspomniana scena przy ruderze, jako też niektóre szczegóły miejsca, zgodne z tym, co niegdyś słyszałem od K.

Co do sceptycyzmu, ten nie zmniejszył się bynajmniej; zachowywałem też chłodną rezerwę badacza-niedowiarka. Później dopiero miałem z roli obserwatora przejść w czynną; lecz to nastąpiło potem i bez mej świadomości.

Tymczasem pokusa była za wielka, żeby się jej móc oprzeć i nazajutrz zaopatrzonej we wszystko sprowadziłem się z dziećmi do ustronnego domostwa. Co mnie na wstępie zdziwiło, to okoliczność, że gdy chciałem się w sprawie wynajmu porozumieć z gminą, nie robiono mi najmniejszych trudności i pozwolono zamieszkać za śmiesznie małą cenę. Swobodę miałem najzupełniejszą i nie potrzebowałem obawiać się przespiewków wsi, gdyż ludzie sami wymijali z daleka mą siedzibę i nieraz widziałem, jak przechodząc mimo, żegnali się zabobonnie. Tak więc całymi tygodniami nie widziałem ludzkiej twarzy, chyba gdy kto przejeżdżał traktem, co się jednak zdarzało rzadko, bo ruch na tej linii od kilku lat osłabł znacznie i przeniósł się o parę wiorst na zachód. Zacząłem więc obserwację.

Przede wszystkim zastanawiała sama zagroda. Budowa jej na pozór niczym nie różniła się od zwykłych domostw, jakie spotyka się na przedmieściach lub przydrożnych zajazdach, a przecież...

Dom, Ciało

Skutkiem szczególnego zestawienia proporcji zdawała się coraz to bardziej zwęzać ku dołowi — tak, że podstawa w porównaniu ze szczytem była zadziwiająco mała i wątła; dach z górną częścią wprost przygniatał podwaliny. Całość dawała się przyrównać do chorobliwie rozwiniętego organizmu ludzkiego, który ugina się pod ciężarem anormalnego wybijania głowy.

<sup>61</sup>burzany — zarośla, szczególnie kolczaste, złożone z ostów i łopianów. [przypis edytorski]

Konstrukcja ta nadawała domowi charakter czegoś brutalnego, jakiegoś znęcania się silniejszego nad słabszym.

Nigdy nie umiałem sobie wytłumaczyć, jak mogła powstać i utrzymać się tego rodzaju budowa.

Podobne wrażenie robiły okna, w stosunku do ścian znikająco małe; wciśnięte w grube mury gubiły się niemal w ich okrutnym uścisku.

Tak przynajmniej wyglądało to zewnątrz, chociaż, jak się z czasem przekonałem, nie były tak wąskie w rzeczywistości, a przepuszczały tyle światła, ile w zwykłych warunkach okna znacznie większe.

Do tego przyłączał się drapieżny wygląd rudery skażonej mnóstwem dziur i wyłobień; wyglądające z nich cegły pokrywały mury niby pryszczami zakrzepłej posoki<sup>62</sup> obryzgującej ściany.

Nie mniej przykro przedstawiało się wewnątrz. Złożone z trzech izb, pełne było szpar i przepuklin, przez które wnącał<sup>63</sup> się swobodnie wiatr. Wpadał do wpół zawałonego paleniska, wykręcał resztki popiołów i tłukł się w dymniku.

Najdziwniejsza jednak okazała się izba narożna, gdzie przeważnie przebywałem.

Liszaje powstałe w jednej ze ścian po oderwaniu się tynku utworzyły zagadkową figurę.

Zrazu nie umiałem uchwycić jej należyście; przerysowałem więc z wolna na papierze i oto przedstawił mi się dość dziwny obraz czy raczej jego fragment.

U spodu ściany, tuż nad podłogą odciskały się kontury nóg dziecięcych; jedna zgięta w kolanie opierała się końcem stopy o drugą, sztywnie wyprężoną ku ziemi. Tułów przechylony wstecz, dochodził mniej więcej do piersi — reszty brakło.

Małe, wątle ramiona wznosiły się w górę ruchem bezsilnej samoobrony.

Całość, mogąca wyobrażać ciało kilkuletniego chłopca, tchnęła bezwładem zwłok.

Nieco wyżej ponad tym, a w kierunku nieistniejącej głowy, widniało dwoje rąk kurczowo zaciśniętych około czego — nie wiadomo; przestrzeń między palcami była pusta. Lecz ręce te należały do kogoś innego: były znacznie większe i żyłaste. Do kogo — obraz nie wskazywał, bo urywały się już poniżej łokcia i zatracały gdzieś na białym tle ściany.

Obraz ten, jak i cała izba miewały w słoneczne dni swe specjalne oświetlenie. Promienie, wpadając przez okna, załamywały się w taki sposób, że światło rozszczepione w krwiste okola oblewało jeden ze słupców przyciesi<sup>64</sup>; zdawało się wtedy, że ściekają zeń grube krople krwi i rozwodzą w kałużę u spodu.

Tłumaczyłem sobie to niezbyt przyjemne zjawisko prawami optyki i szczegółowym składem chemicznym szkła w szybach, zresztą białych i nieskażenie przezroczystych.

Zbadawszy samo siedlisko, przeszedłem w sad czy ogród, stanowiący z nim jedną, nierozłączną a stylową całość.

Był bardzo stary i zapuszczony. Od lat wielu rozplenione chaszczce ujmowały go z zewnątrz zwartym żywopłotem, strzegąc zazdrośnie tajemnicy wnętrza. Wśród chorobliwie wybujałych trawisk dziedzierzawy<sup>65</sup> butwiały smukłe, przedwcześnie zmarniałe pnie młodych drzewin. Obaliły je nie wiatry, niemające tu przystępu, lecz powolne, zjadliwe wysysanie im żywotnych soków przez starsze drzewa. Toteż wyschły jak szkielety z liśćmi o suchotniczych<sup>66</sup> wypryskach. Inne, których nie dosięgły jeszcze sturamienne ssawki olbrzymów, marły w cieniu, przesłonięte ich brutalnym przerostem.

W jednym miejscu wychyliła się młoda olcha spoza przęsła sąsiedniego dębu i z tęsknotą wyzwolin nurzała się w słońcu; wtedy dognał ją muskularnym konarem, wpoił się w miękką jeszcze rdzeń i przedarł na drugą stronę; strzępami zwisły wywleczone nerwy, w gwałtownym skurczu poskręcały się włókna i słoje. Odtąd poczęła usychać...

Ówdzie wargate huby obsiadły latorośle w jadowitych pocałunkach i chłoneły im mlecz z zapamiętaniem. Jakieś ohydne, krwawo nabiegłe pasożyty omotywały nieletnie

<sup>62</sup>posoka (daw.) — krew. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>wnącać się (daw.) — wciskać się. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>przyciesie a. przycies — w budownictwie: podstawa z odpowiednio spojonych belek, na której opiera się ściana domu. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>dziedzierzawa — roślina z rodziny psiankowatych; datura. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>suchotniczy — tu: wyglądający jak organizm zniszczony przez suchoty, tj. ostatnią fazę gruźlicy, prowadząca do śmierci. [przypis edytorski]

pnie i dusiły je, dławiąc. Wydłużone parosć<sup>67</sup> jaworów wspierały swój ciężar na ledwo rozrosłych szczepach i przygniatały je ku ziemi; pod nadmiernym naporem gięły się smutno ku podglebiu lub wyradzały w potwornie śmieszne karły...

W sadzie nigdy nie zalegała cisza. Wieczne jakieś kwilenia, wieczne mąciły ją jęki. Ptactwo, czegoś nieswoje, przykrym zgiełkiem zawodziło po krzewach, błąkało się po gałęziach, tuliło po dziuplach. Czasem wszczynaly się piekielne gonitwy po całym ogrodzie, gdzie zapanowywała groza walki na śmierć i życie. To rodzice ścigali swe młode; biedne, nieprzywykłe do lotu piskłeta tłukły się w daremnym wysiłku o pnie, łamały skrzydła, rozdzierały pierze, póki znużone, pokrwawione nie obsunęły się na ziemię; przesładowcy uderzali z góry dziobami tak długo, aż z rozszarpanych zwłok nie pozostało ani śladu.

Dziwny ten sad przejmował instynktownym strachem dzieci moje, gdyż unikały go, poprzestając na zabawie przed chatą. Ja, przeciwnie — prawie zeń nie wychodziłem, badając jego zwyrodniałe objawy, wżerając się coraz głębiej w jego tajniki. I nie wiadomo jak, niespostrzeżenie dałem się wciągnąć w zakłete koło, wpleść w mrowisko zbrodni i obłądu. Procesu duchowego, jaki się we mnie odbywał, nie zdołałem śledzić — wszystko zaszło prawie nieświadomie. Dziś dopiero, drogą niezrozumiałej dla mnie anamnezy<sup>68</sup> odtwarzam sobie najsubtelniejsze jego stadia.

Początkowo była mi atmosfera zagrody i jej otoczenia tak wstrętna, że gdyby nie chęć wyświecenia<sup>69</sup> prawdy, byłbym ją chętnie opuścił. Z biegiem czasu przyzwyczailem się do środowiska, a nawet stało mi się ono niezbędne: spoufaliłem się. Miejsce zaczęło przetwarzać mnie na swój ton i uległem prawu, które nazwałbym „psychiczną mimikrą”: dostroiłem się do tła. Pozwoliłem się zbrutalizować.

Przekształcenie zaznaczyło się dobitnie w sympatii, jaką po pewnym czasie zacząłem uczuć dla pierwiastka przemocy i gwałtu przeglądającego<sup>70</sup> w charakterze zagrody i tego, co się dokoła niej działo. Stałem się zły i złośliwy. Z rozkoszą łobuza pomagałem ptakom tępić potomstwo, drzewom znęcać się nad latoroślami. Inteligencja ludzka stępiała podówczas w przerażający sposób i przeszła w chęć bezmyślnego niszczenia.

Tak mijały miesiące, a szal mój wzrastał tylko i przybierał coraz to wyuzdańsze formy. Razem ze mną jednak jakby i całe otoczenie postępowało w szaleństwie, jakby spodziewało się bliskiego rozwiązania. Musiałem i ja to przeczuć, bo przypominam sobie, jak pod koniec godzinami całymi wpatrywałem się w chimeryczny fragment na ścianie i w jego uzupełnieniu oczekiwałem klucza do zagadki. Albowiem w końcu wiedziałem tylko to, że mam coś rozwiązać, coś wyjaśnić — z tego, co się ze mną działo, nie zdawałem sobie sprawy.

Równoległe z tymi przejawami zmieniał się dziko mój stosunek do dzieci. Nie mogę powiedzieć, żebym je przestał kochać — przeciwnie; lecz miłość ta przerodziła się w coś potwornego, w rozkosz pastwienia się nad przedmiotem swych uczuć: począłem bić dzieci moje.

Prerażone, zdziwione surowością dotąd łagodnego ojca, uciekały przede mną, kryjąc się po kątach. Pamiętam te biedne, jasne oczęta zalane łzami, z cichą skargą w głębi. Raz jeden ocknąłem się. Było to wtedy, gdy mój mały, mój biedny synek wśród razów wyjęknął:

— Tato... dlaczego mnie bijesz?

Zaniosłem się od płaczu, lecz nazajutrz powtórzyło się to samo...

Pewnego dnia wstałem znacznie spokojniejszy niż przedtem i jakby odrodzony po długim, gorączkowym śnie. Jasno zrozumiałem położenie, dłużej pozostawać na tym odludziu byłoby rzeczą niebezpieczną i dlatego postanowiłem nazajutrz opuścić je na zawsze, rezygnując z dalszych dociekań. Był to ostatni odruch woli.

Tego wieczora, w przeddzień odjazdu siedziałem z dziećmi w izbie, wszyscy troje z zadumą patrząc przez okna na zachód, co po łanach się płożył.

Zwierzęta, Walka, Młodość,  
Starość, Śmierć

Przemoc, Choroba

Przemoc, Ojciec, Dziecko,  
Szaleństwo

<sup>67</sup>parosć — pęd, latorośl. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>anamneza (z gr. *anamnesis*: przypominanie) — sposób poznania danej rzeczy poprzez przypominanie sobie o niej. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>wyświecenie — tu: wyjaśnienie; wydobyć na jaw. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>przeoglądający w charakterze — popr. raczej: przejawiający się w charakterze. [przypis edytorski]

Był krwawy i smutny. Miedziane smugi światła jesiennego leżały na polach żalobą agonii, zimne, przejęte chłodem nocy, bezsilne...

W sadzie zacichło nagle, szemrały nasennie jesiony, ćwierkały świerszcze... Zaparło dech światu... Chwila naprężenia...

Leniwym przerzutem zwracam spojrzenie na kaprys ściany.

— Trzeba to uzupełnić... uzupełnić...

Ogarnia mnie czułość. Jestem dobry i łez pełen.

— Jerzy! Pójdź tu, dziecię!...

Usiada mi na kolanach ufny, wdzięczny... Musiał odczuć szczerłość w głosie... Moje ręce gładzą jasną główkę syna, z wolna obejmując szyję...

— Tato!... Nie ściskaj tak mocno! Ta-a-t...

Zacharczał...

Drugie dziecko z przestachem szybko biegnie ku drzwiom...

— Ucieknie ci...

Rzucam trupa Jerzego, doganiam córkę i jednym uderzeniem roztrzaskuję jej głowę o belkę...

Krew mieszała się z purpurą słońca.

Tępo patrzę pod ścianę, gdzie leży syn mój: zda się przywarł do obrazu i uzupełnił go z największą dokładnością, na cal się nie wysunął poza linię.

A w rękach niezaciśniętych już więcej koło próżni, lecz miażdżących mu szyję, poznałem... moje własne...

Karawana obłądnych myśli przeciągnęła ze szczękiem, zachrzęściła szkieletami trupów i szeszła w zawiei...

---

Problemat zagrody był rozwiązany.

## Podzwonne

Pogrążyli się w wieczornej zadumie.

Gwar miasta dochodził tu tylko stłumionym podzwiękiem, odcięty od zacisza plebańskiego sadu grubym, trawiastym murem. Tylko tam, na drugim końcu przerywała go wąska bramka z żelaznych krat i przesuwiała przed oczyma fragmenty życia ulicy. Od czasu do czasu przeciągały ze śpiewem grupy podochoconych żołnierzy w skórzanych koletach, pobrzękując niedbale opuszczonymi rapierami, mignęło puszyste pióro w szerokich, bujnych liniach wygiętego kapelusza, załopotał płaszcz rycerski...

Od czasu do czasu zaszeleściła aksamitnym trenem sukni wstydliva mieszcza, spieszenie zdążając do domu, przeszła poważnym krokiem gromada rajców, zaczerśniała dostojna postać matrony...

Gdzieś na rogu kuglarz-linoskok wyginał gibkie ciało wężowym ruchem, lśnił pośród gawiedzi łuską pstrokatej odzieży... A dalej — dalej dymy się wiły wieczorne i słońce luniało na dachach...

Od sadu przywiewały surowe obrzaski świeżo skoszonej trawy, wynikały wilgne wydzieliny ziemi. Przed godziną spadł deszcz i zmokrzył drzewa, murawę, kwiaty, iż nabrały połysku i miękko stonowały się z soczystą czerwienią zachodu.

Jedwabne cienie zachodziły falami w zroszoną ruń darni, oddając kapryśne ruchy wiatru, powikłane kontury drzew dziergały zmierzchową sieć dziwów. W pośrodku niby puklerz koralowy padał odbity od witrażu przyległej fary płomienny refleks słońca i przygasał powoli. Mętniało na dworze.

Na twarzy księdza Pawła jaśniała cicha pogoda; siwe oczy mistyka spoglądały z zrozumiałością w pieniający się wir życia, pełne miłości i współczucia ogarniały roznamietniony świat zmysłów, tłumacząc wszystko, przebacząc bez końca. Inaczej patrzył dziś w miasto przyjaciel ojca Pawła i powiernik, dzwonnik Sebastian. Subtelna twarz rzeźbiarza, okolona ciemnym zarostem, tchnęła wysiłkiem woli, która lada chwila miała ustąpić

pod naporem nowych tęsknot, krańcowo różnych od tych, jakie dotąd rozskrzydlały duszę.

Był to wieczór przełomu i buntu, rozstajne drogi dwóch duchów do dziś dnia spojonych przepiętną siłą; odtąd miał każdy pójść swoją drogą.

Prawie rówieśnicy, wychowywali się razem, wzrastali w spójności poglądów i idei. Paweł, z natury mistyk, poświęcił się stanowi duchownemu i od lat paru mieszkał przy farze, gdzie wkrótce po wyświęceniu zasłynął jako kaznodzieja i spowiednik. Sebastian, nie chcąc się rozstawać z przyjacielem, objął obowiązki dzwonnika, a w wolnych chwilach uprawiał rzeźbę i plastykę. Miał duszę dziecka, rozmiłowaną w pięknie wiary i Boga, rozśpiewaną dźwiękami dzwonów, zasłuchaną w melodie serafów. Takim go znał ksiądz Paweł od dawna, takim ukochał i wymarzył. Sebastian był jego ideałem, tą jedyną duszą bez skazy, której szukał i wszystkie swe siły wycęzał, by ją utrzymać na śnieżnych wyżynach.

Wytworzył się między nimi niezwykle, rzec by metafizyczny stosunek. Najłżejsze drgnięcia myśli przyplwały ku sobie niewidzialnymi falami, przenikały się harmonijnie w zawsze czystym, nieskażonym oddźwięku. Z ust Pawła szły archanielskie tchnienia i uderzały w bratnią pierś harfy dzwonnika, by stąd wzmocnione radością piękną wzbić się ku górze stustrunym hejnałem. Rzeźbiarz brał twórczą myśl przyjaciela na białe skrzydła swej sztuki i niósł gdzieś w zaświaty, tam, gdzie Aniołom i Bogu przybytek.

Paweł postanowił stosunek zacieśnić, przykuć go do siebie nierozzerwalnie, zanim inne siły uprzedzą. I połączył ich Archanioł Michał, wielki, święty wojownik, twór myśli i dusz obu, dzieło rąk Sebastiana.

Zawiesili go w locie olbrzymich skrzydeł nad głównym ołtarzem farnego kościoła.

Dzwonnik rzeźbił posąg dwa lata, czerpiąc natchnienie w rozmowach z przyjacielem, w skupieniu modlitwy.

Po kilkakroć hartowane kuny przytrzymywały niewidzialnie ciało bohatera zastępów; w razie potrzeby dawały się odpiąć, a statua ześlizgiwała się lekko po blokach umieszczonych za baldachimem podniebia.

Urządzenie to uważał mistrz za konieczne do odprószania<sup>71</sup> i naprawy nadwyreżonych części. Tajemnicy mechanizmu jednak nikomu prócz Pawła nie powierzył z obawy, by niezręcznie lub za szybko puszczona maszyna nie spowodowała fatalnego runięcia ze szczytu.

Raz do roku wprawną dłonią sprowadzał posąg ku dołowi, odczyszczal z przędzy pajęczej, przywracał pierwotny blask przyćmionej kurzem szacie. I znów ważył się pod arkadami z bożym zapalem w żrenicach, z rozwianym włosiem niebieski witeż<sup>72</sup>.

Pamiętnym był dzień, gdy po raz pierwszy w pustym kościele zawiesił promienny dumą i szczęściem twórcą płód pracy serdecznej.

Stali cicho wpatrzeni w święty ogień lic chrobrych i gromki ruch prawicy, gdy w szataną godzi — radośni, zdumieni pięknem dusz własnych, nadziejscy... Archanioł Michał!

I zawarli ślub wielki, ślub duchów i wzmocnili przysięgą. Na życie na całe, długie, ludzkie życie, które odtąd miało być święte i nieskalane, w miłości ku Bogu i ludziom a ziemskich rozkoszy płone<sup>73</sup>. A On był świadkiem i przysięgę odebrał...

W życiu duszy można odróżnić pewne zakresy, do których jedni odnoszą się z najzupełniejszą obojętnością, czy raczej oschłą niewiarą, drudzy całą swą jaźnią tkwią w ich otchłannych tajniach. I oto w całej krwiożerczej pełni rozwija swe znaki brutalność bytu! Owi „wolni”, obojętni, niekrepujący się żadnym względem uchodzą bezkarni, z demonicznym chichotem pełniąc najokrutniejsze zbrodnie, by często drugich, wplątanych w nie tylko przypadkiem, wciągnąć za siebie w ziejącą potęgą potępieniem czeluść.

Przekleństwo i kara tym, co wierzą!

Wiara twoja zgubiła cię!

Niechaj drży wierzący grzesznik!

<sup>71</sup>odprószanie — tu: odkurzenie; por.: oprószyć. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>witeż (daw.) — wojownik. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>płony — tu: pozbawiony. [przypis edytorski]

Lepiej zerwać wszystkie pęta, które spowijają duszę, niżli zostawiać najwęższe włókno, bo i to zawlecze w odmęt zagłady. I najdrobniejsza iskierka, tlejąca głęboko pod popiołami niedogasłej wiary wznieci dnia zemsty pożar zatracenia.

Ksiądz Paweł i Sebastian byli to ludzie wierzący. Ślub, jaki zawarli, mógł się stać dla obu groźnym, szczególnie dla tego, który go głębiej pojmował.

Gdy w ów święty wieczór dusz swoich opuszczali świątynię, maj cudny rozkwiecił sady, uzienił łąki i pola, rozwinął pęczce<sup>74</sup>. Sypały rześną ulewą płatków jabłonie, rozwodziły zawrotne wonie bzy, jaśminy, upajały się chwiejbą wiatru magnolie. Po ulicach przemykały drżące rozkoszą pary kochanków, tuląc się w wiosennym pragnieniu, oplótszy za ręce.

Sebastian czegoś posmutniał. Lecz już wzywał go za sobą w podniebne szlaki poważny głos księdza:

— Od dziś dnia każdy z nas odpowiada za drugiego. Odebraliśmy wzajemną przysięgę, weszliśmy w obręb święty, którego bezkarnie znieważać wiernym nie wolno. Jeśliby który z nas złamał śluby, drugi zań odpowie ofiarą oczyszczenia.

— Zdaje mi się jednak, że by odpowiedzialność znikła, gdybyśmy przestali wierzyć?

— To prawda, nawet choćby tylko jeden. Ale musiałoby to być szczere. Rozumiesz mnie? Zupełna niewiara!

— Tak... lecz do tej nie jesteśmy zdolni.

— Dlatego musimy się mieć na baczności! Służymy wieczystej harmonii duchów. Biada nam obu, jeśli który się zmąci ją poważnie!...

Głęboko zamyśleni rozstali się.

Odtąd minęło lat parę. Ślub, zda się, istotnie silniej jeszcze zespolił obu. Lecz miały nadejść przemiany.

Względem innych zawsze wyrozumiały i łagodny, okazywał się Paweł od czasu tajemnego związku w stosunku do przyjaciela wymagający, niejednokrotnie surowy. Sebastian, wychowany niemal od dziecka pod jego wszechwładnym wpływem, usuwany od ponęt zewnętrznych, nie zdawał się zrazu odczuwać krępującej opieki; nie obudziły się w nim jeszcze pewne odruchy duszy. Chwilową melancholię nawiedzającą go czasami umiał przyjaciel skierowywać w obranym kierunku, rozniecając w nim nadziemską ekstazę i miłość. Wreszcie jednak uspięne do czasu siły rozpoczęły ciche, prawie niedostrzegalne, lecz trwałe w skutkach ruchy.

Pewnego dnia uczył się rzeźbiarz ogromnie samotny. Przyszła myśl, że, choć dotąd życia nie używał, mógł przed złożeniem przysięgi w każdej chwili upomnieć się o swój dział, sięgnąć po kwiat szczęścia — był piękny i młody. Po tym, co zaszło u stóp Michała, miał już drogę zamkniętą. Niebotyczne mury zawarły go w przybytku skrzącym świeżością kryształów, tęczami kaskad, lecz lodowo zimnym. Przejął go dotkliwy chłód marmurów, razila do ślepoty biel alabastrów. Na krzyk rozpaczliwy serca otrzymywał niezmiennie w odpowiedź głuche echo olbrzymich, pustych komnat. A tam za witrażami framug świeciły się gody życia, miały słoneczne, złote popołudnia. A tam za draperiami okien obdziały szczerze wonnym łonem róże, prześcigały w daremnym utęsknieniu za śmiałą dłonią rześne grusze.

Więc jak ptak uwięziony zabił o szyby, zatrzepotał o kraty i po chwili walki opadł na dno klatki. Wiara nie pozwalała rozpuścić skrzydeł.

Wśród tej rozterki poznał Martę i zrozumiał, że jest mężczyzną.

Była tancerką z wędrownego trupy cyrkowych wesolków. Gdy smagle ciało kreolki więc się jęło w lianowych zawrotach sarabandy, przesycony koszenilą szal opasywał głowę szkarlatną wstęgą, niemiała tłumy i z zapartym oddechem chłoniły taneczne przeguby. Była jak smukła tuja opleciona czerwieniejącym winogradem jesieni.

Spłynęła doń wieczorną godziną z promieniem zachodu, zawitała w progi samotnego domu jak chwila kryjoma, jedyna.

— Przysłał mnie twój wielki Archanioł...

Pawła w mieście nie było: wyjechał na czas dłuższy. Gdy wrócił, już się stało. Mógłże<sup>75</sup> się opierać?

<sup>74</sup>pęczce — pąki. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>mógłże (daw.) — konstrukcja z partykulą -że; znaczenie: czy mógł, czyż mógł. [przypis edytorski]



Było smutne, chore szczęście. Błada radość słońca na żałobnych złożach chmur nadciągającej tuczy.

Sebastian nie przestał wierzyć w świętość przysięgi. Słowa Pawła przerzynały w czarnych, niepokojących liniach świetlany wzorzec miłości...

Postanowili opuścić miasto i pójść na południe między gaje cyprysów, pomarańcz ogrody. Tej nocy. Tymczasem ostatni wieczór poświęcił Pawłowi.

Czy się czego domyślał, przeczuwał?

Nie wiadomo. Oto twarz oparł na dłoni i mówił:

— Miałem tej nocy dziwny sen. Przyśniło mi się dwoje bliźniąt nieszczęśliwym trafem zrosniętych piersiami. Po jakimś czasie okazało się, że jedno z nich jest porażone wstrętnymi krostami, które poczęły je niszczyć w gwałtowny sposób. Chcąc ocalić drugie, należało rozdzielić je. Lekarze uznali rzecz za niemożliwą. Zbadano, że miały wspólne serce, a chociaż tkwiło całe w piersi zdrowego, to przecież włókno łączące je z chorym musiało w razie odłączenia ulec zniszczeniu i zgubić drugie. Tak więc skazane były oba na zagładę. Pomyśl... przez jedno małe włókienko! Fatalne!

Sebastian badał uważnie twarz mówiącego:

— Cóż dalej?

— Dalej?... Cóż chcesz?... Wynik jasny. Widziałem z przerażeniem okropny zanik jednego, który przeniósł się z kolei na zdrowe. Obudziłem się właśnie w tej chwili, gdy choroba docierała do serca...

— Istotnie — mruknął dzwonnik — Istotnie...

I dodał ciszej:

— Dziwne podobieństwo...!

Zmierzchno się zupełnie. Paweł powstał i wyciągnął dłoń na pożegnanie. Uścisnęli się: jeden jakby z niemym wyrzutem, drugi na długie, może na zawsze rozstanie.

W chwilę potem rzeźbiarz siedział już sam przed domem.

Księżyc snuł już od jakiegoś czasu odwieczne marzenie o sennych płasach, srebrnej zadumie, tęsknocie, zlewał bładą łaskę bezsily na szpalery jodeł i kasztanów. Wśród krzów różanych wzbijały się świętojańskie czerwce, lśniąc ognikami marnego szczęścia. Skądś mgły się uniosły i tuląc pnie drzew w rozwiewne szale, strzępiły pierś mleczną na sękach. Gdzieś słowik zanosił od jęku...

Za kratą furty zamajaczyła wiotka postać.

Nareszcie!

Poszli szybko w stronę przedmiejskich bulwarów. Miasto już spało. Tylko z przydrożnych winiarni wypadały na chodnik światła lamp, pochodni, szły chrapliwą wibracją melodie piosenek.

Wstąpili do ostatniej, najbardziej wysuniętej z miasta, od której zwykle rozpoczynał drogę pocztylion. Miał wyruszyć dopiero po północy, więc czasu było dużo. W oberży zastali cygańską kapelę wrzaskliwą, lecz namiętą. Ścisk był ogromny i dym przesłaniał wszystko, że zaledwie znaleźli miejsce za stołem.

Pięściwe tony skrzypiec, fletów, zmieszane z chrzęstem brząkań, grzechotek zagrały współdźwiękiem w duszy Marty: poczęła tańczyć.

Rozstąpiono się.

Krótką przygrywką. Parę urwanych, drapieźnych rzutów i... wkoło... Tors dumny, królewski... Purpurowy szal... Gest pyszny, szeroki: kreolka!...

Zwolniła biegu... drzemią pożądaniem struny... koła węższe, do środka... znieruchomiała!...

Hej, krwi ty moja, krwi szalona, przelewaj brzeg, srom<sup>76</sup> biały łam! Płomieni jestem córa! Hej, krwi ty moja, krwi!... Oszalej, zagraj, pluszcz! Jak żagiew ogniem zionę!...

Wirry, skręty, zgiełk!... Poniosła się w tan. Orgia zgieć, przekłonów, sploty ramion, wstęg, włosów wicher złoty! I ten szal czerwony, ten czerwony szal!...

Błyskawiczne zetknięcie się żreń...  
— Co mnie i tobie niewiasto?...

— Ból, przepaść, uwielbienie! Archanioł Michał!

— Święty, czysty... mój! Wzburzonej krwi hold, przepokorna skrucza...

<sup>76</sup>srom (daw.) — wstyd. [przypis edytorski]

Nie!... Prawda jest we mnie!...  
Cudny odrzut głowy, obłąków warg... Kto przemoże?  
Jam pantera płowa!  
Tam łysło za oknem?... To nic... powiodę!...  
Znam czarów ogrody, miłości raje,  
Znam źródła przesłodkie, upojne ostoje,  
Snów boskich przedziebną tkaninę...  
Pójdź!  
Tam grzmiało za oknem?... Nic to!...  
Żar parny. Spragniony posytu, żądz szaty  
Znam ciała rozdrganą chuć młodą, tęsknoty  
Pieszczotą na łożu ściszone...  
Pójdź!  
Wichura drzewa druzgoce?... Jam silna!  
Pieśni ci zagram, ukołyszę łonem,  
Gdy wrócisz strudzony po pracy,  
Rozplotę włosy, wezłowie wyściele,  
Liliami, różą wyמושczę... Ha!... Co to?!...

Przypadła do kochanka.

Przez nagle rozwarte drzwi tylnej ściany bryznęły strugi deszczu i w progu zaczer-  
niała księża szata. Był to ojciec Paweł przemoczony do nitki, wybladły. Około północy  
zbudzono go nagle i zawezwano do umierającego. Porwał się z posłania i zabrawszy, co  
najpotrzebniejsze, bez płaszcza w towarzystwie nieletniego chłopca poszedł. Droga była  
dość daleka, lecz noc widna jak w dzień. W powrocie zaskoczyła go burza. Na oślepie, nie  
wiedząc, gdzie zmierza w ciemnościach, dopadł drzwi pierwszego z brzegu domu. Teraz  
spozstrzegłszy się, chciał już zawrócić, gdy wtem oczy jego padły na Sebastiana i tancerkę  
tulącą mu się w objęciach.

Twarz księdza na moment przeorała bezsilna rozpacz. Lecz już w następnej chwili  
opanował się i nie cofając już więcej postąpił ku nim.

— Sebastianie, czy uczyniłeś to ze straty wiary?

Sebastianie! Czy przestałeś wierzyć?

Rzeźbiarz milczał. Wiedział, że chwila jest stanowcza, lecz i święta. Przed tym prze-  
szywającym, jasnym wzrokiem nie śmiał kłamać, nawet... choćby go ocalić. Więc po  
długiej chwili odparł cicho.

— Nie...

Wściekły kurcz chwycił go za szczęki.

— Przebacz!... Lecz nie mogłem inaczej...

— Dziękuję ci, bracie. Bądź spokojny: ja Go ocalę. Przywrócę zachwiane przymierze.  
A ty bądź z nią szczęśliwy, jeśli tylko... zdołasz...

Uśmiechnął się.

Zanim dzwonnik znalazł siły na odpowiedź, księdza Pawła już w sali nie było...

Tymczasem na dworze wyjaśniło się na nowo i księżyc kończył przerwana wędrówkę.

Muzyka gdzieś się wyniosła, ludzie porozchodzili. Tylko po kątach drzemali podróżni  
w oczekiwaniu na pocztę.

Sebastian głucho patrzył w sufit, nie zwracając uwagi na Martę, chociaż usiłowała  
bezsukutecznie wywieść go z ociężałej zadumy.

Tak minęło parę godzin.

Nagle zagrała trąbka do odjazdu. Powstał jak ze snu i pod pozorem, że idzie umówić  
się o miejsce, wyszedł z austerii. Za bramę skręcił ku miastu; pędziło go w stronę fary.

W pół godziny był na miejscu. W kościele świeciło się: ujrzał nikły blask świecy przez  
otwarte podwoje. Jakby tylko chcąc coś stwierdzić naocznie zajrzał do środka. Przykro  
zaśmiał się:

— Wiedziałem.

Ołowianym krokiem skierował się ku dzwonnicy.

Była może trzecia nad ranem i kury już piałły trzykrotnie. Nad miastem wyciągała leniwe ramiona przedświtowa cisza, poszczekiwały psy spuszczone z łańcuchów, przecierały się mgły nad rzeką. Z dachów ściekały sennie lzy dżdżu nocnego, w kadziach chlupotała mętnie deszczówka. Na wschodzie gwiazdy wtapiały się w błękit...

Wtem jęknął głos dzwonu: samotny, ochryply... Ktoś bił na trwogę. Już dwa grały, trzy... wszystkie. Szły w ulice spiżowe tarcze dźwięków i uderzywszy o się z gruchotem roztrzaskiwały o mury... Nowe kłęby rozdrzanego powietrza, wściekły rozmach oślepyłych falang i znów rzegotanie zderzenia... Obląkały się dzwony...

Zbiegli się ludzie z pochodniami na dziedziniec fary... Kościół stał szeroko rozwarty. W pośrodku, u stóp wielkiego ołtarza leżał w posoce krwi ksiądz Piotr ze zdruzgotaną czaszką, trzymając w objęciach Archaniola Michała, który go okrył złotymi skrzydłami. Szczególnym trafem posąg runąwszy ocalał: spoczął bezpiecznie na ciele księdza, rozgniatając mu głowę ciężarem własnej.

A tam na dzwonnicy pieniała się wietrzyca dźwięków, targały opętańcze sznury, tłukły rozchukane serca.

Dzwonnik od fary oszalał...

## Wampir

Nad *Castro de Brocadero* rozwiesiła dziko zmierzwiłone zapyony chmur wietrzna jesien-na noc. Luty wiatr, przedarłszy się przez szczyrbate piły *Pico Nevado* wpadał piekielnym gwizdem pomiędzy rozchobotane szczyty drzew, okrążał zamek korowodem poświstów, osaczał zewsząd rozjuszonym skowytym. Chwilami rozpruwały się skleszczone w uścisku ławice chmur, by odsłonić seledynową tarcz<sup>77</sup> księżycą: na moment wynikały z pieczar nocy krzepkie narożniki, wydłużały się ukośnym biegiem bastiony, stożyły<sup>78</sup> śmiałym rzutem w niebo iglice wież. I znów wsiąkało wszystko w niezgłębione ciemności. Tylko gromada puchaczy wyrwała się spod murowych wyziorów i z złowrogim skwirem tłukła o skały...

W smukłym, gotyckim oknie narożni pełgoce<sup>79</sup> nikłe światło: nie śpi pan grodu, czuwa Don Alonzo de Savadra. Zegary zamkowe dawno już wydzwoniły dwunastą, dawno już przebrzmiała na wieży mosiężna fanfara północy złamana w tysiączne podźwiewki o drapieżne grażnie...

Do pańskiej komnaty wszedł srebrnowłosy *majordomo*<sup>80</sup>, czystej krwi *hidalgo*<sup>81</sup>, przyjaciel i sługa. Oddawał klucze:

— Czy mam przyzwać szatnego, *señor*<sup>82</sup>?

— Nie trudź się, mój stary: tej nocy spać nie będę.

Sklonił się, już wyszedł.

Hrabia zagłębił się w pysznym, mahoniowym karle<sup>83</sup>. Przed nim na trójnożnym stole jakiś stary, mistyczny traktat — barwne inicjały. dziwaczne arabeski. Z poźółkłych kart foliału wieje odrębna, swoista woń; może wspomnienie dawnych, wielkich chwil. Droga, cenna księga, spuścizna chrobrych<sup>84</sup> dziadów!...

Zadumał się nad zgasłą Savadrów sławą, zapamiętał — on, ostatni z rodu...

Rycerscy byli, piękni byli — Chrystusa witez<sup>85</sup>! I sam był podobny, gdy w świetnej kolczudze, w okolu<sup>86</sup> krasnych<sup>87</sup> giermków wprowadzał ją w te progi, ją, dumną Biankę

<sup>77</sup>tarcz — dziś r.ż.: tarcza. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>stożyć się (neol.) — tu zapewne: rzucić zarys w kształcie stożka. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>pełgoce — dziś popr. forma: pełga (tzn. płonie wątłym ogniem). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>majordomo (z hiszp.) — prowadzący dom, przełożony służby domowej. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>hidalgo (hiszp.) — szlachcic. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>señor (hiszp.) — pan; tu: proszę pana. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>karło — rodzaj niewysokiego, ozdobnego krzesła z podłokietnikami, o nogach z przodu i z tyłu uformowanych w kształt cyfry X; niekiedy z oparciem, częściej bez, czasem wyściełane materiałem lub skórą. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>chrobry a. chabry (starop.) — dzielny, waleczny. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>witez a. wiciądz (starop.) — dzielny rycerz, wojownik. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>w okolu — tu: w otoczeniu. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>krasny (daw.) — piękny. [przypis edytorski]

Bradera, szczodra i wyniosła panią. Dziś starzec oszreniały wiekiem i sam bez potomka... Savadrów ród!... perła Andaluzji, *kortezi* kraju, wielkie serca, tęgie dłonie! I wiary zaszczyty. Żaden nie splamił się herezją, żaden nie zgasł na wygnaniu, nie zetlał w ogniu autodafe. Dwóch zamknęło się w skalnym ustroniu, gdzie wiedli żywot błogosławionych. Po śmierci Kościół uznał jako świętych. A wiara ich była silna, gorąca: tak tylko wierzyć umie namiętny duch Hiszpana...

...Może i zbyt pogardzali ciałem, może... To prawda, że ku końcowi marnieli w oczach, nikli z fatalną szybkością. Niegdyś tak płodny, rozrosły potężnymi odnogi<sup>88</sup> ród w przeciągu lat kilkudziesięciu skarłowaciał do szczytu. I oto na nim wysilił się rozrodczy pęd ostatnim pokotem i skonał...

Powiodł znużonym okiem po galerii antenatów; przechodził z wolna twarz po twarzy. Po raz pierwszy może uraził go kontrast między rzędami górnymi a końcową odroślą. Tam — rysy męskie, o szerokim rozmachu, piersi jak puklerze, u dołu — głowy dziwnie wysubtelnione, oczy zawleczone mgłą przeduchowienia pociągłe owale ascezy...

Zatrzymał wzrok u samego spodu i długo, długo wpatrywał się w wizerunek przedostatni: Olivareza, brata — przyjaciela.

Jakże odbija ta młodzieńcza, tryskająca pełnią sił życiowych twarz od swych wybladłych, zmęczonych sąsiadów. Hm... hm... Olivarez, Olivarez...

Popadł w zadumę.

Tak, to prawda. Starszy brat stanowił istotnie pod każdym względem dysharmonię z końcową linią Savadrów. Jak gdyby w nim ród chciał rozbłysnąć po raz ostatni przepychem bylej tężyzny, zamigotać raz jeszcze minioną świetnością. Więc zogniskował resztę soków, wyprężył twórcze rodnie i wydał doskonałego człowieka. Bo w pojęciu Don Alonza brat zawsze za takiego uchodził. Żywo pamiętał tę smukłą, męską postać z kruczym zarostem, te ogniste, namiętne oczy i ruchy przepojone wykwinem i rycerskością. Olivarez był dzielnym jeźdźcą. Gdy na swym karym arabie przejeżdżając ulice miasta, rzucał płomienne spojrzenia spod zapuszczonych kres sombrera, zapełniały się okna i balkony postaciami kobiet, tysiące palących oczu *señoriti*<sup>89</sup> odprowadzało go z tajonym zachwytem.

Dzielny był! Gdy raz w Madrycie runął rozwścieczony buhaj na zbladłego toreadora, Olivarez, lekko przeskoczywszy barierę, utopił kordelas po rękojeść w sercu bestii.

Obok przymiotów fizycznych górował wybitną inteligencją. Mimo młodego stosunkowo wieku wyrobił sobie dość oryginalny pogląd na życie i jego zagadki. Szczególnie lubił dysputy na temat bytu pozagrobowego. Nieraz gdy przez żaluzje precedzało słońce przygasłe światło popołudnia, a zza kaszmirowej kotary przesiąkały drzemiaćco-namiętne tony pieśni kreolów siadali samotni pod łękami arkad i snuli długie, wyczerpujące rozmowy. Czasami muzyka przygasiała i na tle aksamitnych opon wynurzała się hieratyczna postać Bianki, wsłuchana w szmer rzucanych słów, pytań, odpowiedzi... Czasami już księżyc zapalał blade ognie w porozwieszanych pawężach, srebrzył się na klindze dągi<sup>90</sup>, pylił na brzeszczotach skrzyżowanych szpad...

Szczególnie jedna z tych rozmów utkwiała mu głęboko w pamięci.

Było to na krótko przed wyjazdem Olivareza do południowych kresów kraju, gdzie miał objąć w zarząd przypadające nań apanaże. Bliskie pożegnanie, może jakieś niejasne przeczucia spowodowały, że brat był pamiętnego wieczora silnie podniecony, co, jak zwykle u niego, objawiło się w potrzebie żywej dyskusji. Toczyła się na ulubiony mu temat o życiu pozagrobowym i stosunku ducha do materii.

— Doprawdy — mówił — nie rozumiem waszej uporczywej pogardy dla ciała. Zdaje mi się czasem, żeśmy już bardzo zwyrodniali. Widzisz, Alonzo, nie mogę się zgodzić na tę jednostronność; zbyt silnie przemawia do mnie świat zewnętrzny, zbyt piękni wydają mi się ludzie w swej dumnej dostojności ciała. Przenigdy nie przechyliłem się ku rozpaczliwej wierze, że tyle boskich kształtów rozwieje się kiedyś w proch lub wylęże<sup>91</sup> tylko trujące

Ciało, Piękno, Obraz  
świata, Dusza, Duch,  
Stworzenie

<sup>88</sup>rozrosły potężnymi odnogi — dziś: rozrosły potężnymi odnogami a. rozrośnięty w potężne odnogi. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>señorita (hiszp.) — panna. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>dąga a. deka — sztylet o szerokiej u nasady, zwężającej się ku sztychowi, dość długiej (40–60 cm) głowni; służący zadawania pchnięć w miejsca nieosłonięte zbroją lub do rozdzierania kolczugi przeciwnika. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>wylęże — dziś popr.: wylęganie. [przypis edytorski]

miazmaty chorób. Nie podobna! Toby było ohydną igraszką, tępym bezsensem piękna. Miałyby<sup>92</sup> być li tylko kapryśnym tworem znużonego nicością demona te wiotkie, gibkie linie, co w takt tajemnych rytmów układają się w spiżowy posąg siły, to znów pieściwą falą zgięć o podziw proszą, te złote kaskady dźwięków, tęczowe symfonie barw? To całe tak straszne, a tak pyszne życie? Przenigdy! Mój Demiurgos za wielki na to i za poważny.

Skąd w ogóle ten nieubłagany rozdział między ciałem a duszą? Może dusza sama przez się nie istnieje? Może i nie ma tej przepastnej różnicy?

Zatrzymał się, jakby wyczekując zapytania. Po chwili milczenia zagrał cichą melodią głos Bianki:

— Czymże więc dusza?

— Przeduchowionym ciałem, które po śmierci pozbywa się grubszych, organicznych części i z czasem przechodzi w świetlane, nieśmiertelne tworzywo ducha. Obrazem tego procesu są blade, fosforujące otocze nad grobami świeżo umarłych. To wyzwoliny duszy. Tak boskie ciało miał Chrystus po śmierci: w nim to ukazał się w gaju oliwnym zachwyconej Marii z Magdali i przez drzwi zamknięte wszedł do wieczornika uczniów swoich. Pomnisz słowa Pisma Świętego o zmartwychwstaniu ciał? Myślę, że chyba nie o tych mowa, co wtedy już dawno strupieszają w grobach, o ciałach fizycznych...

Rozdrażnienie Olivareza widocznie wzmogło się, bo przerwał i zaczął krążyć szybko po sali. Wargi mu drgały niecierpliwością i znać było, że pragnie wynurzyć się<sup>93</sup> z jakiejś zmory, tłoczącej mu pierś. Wreszcie gwałtownie, z wstydliwą bojaźnią zakończył:

— Snuje mi się czasem po głowie potworna myśl, dzika fantazja śmierci. Wyobrażacie sobie, że człowiek harmonijnie rozwinięty, z doskonałym zestrojem władz ciała i duszy, co przedziwnie zawarł w sobie krańcowe ich objawy, ginie gwałtowną śmiercią. Pomyślcie, jakby niechętnie wtedy dusza wyzwalała się z ciała, z jakim wahaniem się, odwłoką<sup>94</sup>?... Ona by je oblatywała jak matka martwe pisklę, nie mogąc się z nim rozłączyć! I ha!... To potworne!... Może lata całe!... Pomyślcie o skutkach czegoś podobnego! To by było coś połowicznego, jakies zawieszenie między życiem a śmiercią, ziemią a zaświatem. Oblędny półrozwój pośmiertny!... Nie!... Nie! Oszalałem!...

Przycisnął kurczowo dłonie ku skroniom i patrzył zdziczałymi od strachu oczyma w posrebrz nocy za oknami.

Wkrótce potem odjechał. W miesiąc przyszła wiadomość o jego nagłym zgonie. Śmierć ta pozostała do dziś dnia dla hrabi tajemnicą. Zwłoki znaleziono w ustronnej, podmiejskiej hacjendzie<sup>95</sup> sztywnie rozpostarte na otomanie.

Może mściwa zemsta zdradzonej kochanki wsączyła krople jadu w puchar biesiadny wśród histerycznych płasów tarantelli... Może ból przepastny podciął krwawiące tętnice... może...

A był tak młody: zginął, licząc zaledwie trzydziesty rok życia.

Zwłoki sprowadzono natychmiast do zamku i nie balsamując pochowano w grobowcu rodzinnym Savadrów.

Odtąd czterdzieści już razy ubieliły śniegi zębate sierry gór, czterdzieści razy święciła wiosna gody powrotu po bezkresnych lianach, lewadach, po leśnych parowach. Stratę brata odczuł Alonzo głęboko. Zdziczał i sposepniał. Od śmierci Olivareza ni razu nie zabrzmiała z wieżycy powitalna fanfara trębacza, ni razu nie przerzucił most zwodzony gościnnych ramion przez fosę. Nieodświeżana woda w rowach okalających grodzisko obrosła kępami rokitnicy i szuwarów, spomiędzy których wyzierały zrudziałe pleśnie i kożuchy. Na zgłuszonych zielskiem szkarpach, na fortecznych zboczach pełniły od lat żalobną straż cyprysy, oddawały się wiatrom smętne limby. Ciszę przerywał czasem z wieży drżący głos Rozyty, piastunki hrabiego, gdy przędąc na kołowrotku nuciła nikłą, starczą piosenkę, czasem dolatywał parowem pogrzebowy dźwięk dzwonu z Santa Pietade, odległej o trzy wiorsty od kasztelu.

<sup>92</sup>miałoby być (daw.) — czyżby miały być. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>pragnie wynurzyć się — tu: pragnie zwierzyć się; por. *wynurzenia*: zwierzenia. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>odwłoka — zwłoka, odwlekanie czegoś, zwlekanie. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>hacjenda — w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej: wiejska posiadłość a. duże gospodarstwo rolno-hodowlane (plantacja); także: dom, zabudowania należące do posiadłości wiejskiej. [przypis edytorski]

Niekiedy pod wieczorną zorzę przesuwiał się wydłużoną sylwetą po skałach cień samotnego wędrowca, mignęła barwna świta<sup>96</sup> górą. W górze grały bez przerwy wielkie harfy wiatru...

Pan zamku odciął się zupełnie od świata i ludzi; zatopiony w mistycznych studiach tracił widocznie resztę sił życiowych i gasł wśród zabójczych zachwytyw ascezy.

Chwilami tylko spóźnione pobłyski przeszłości roztaczały przed nim stare, zatarte obrazy niby wypłowiałe gobeliny na ścianach sal rycerskich...

...Rozśpiewane chóry minstrelów, strojne, płomiennookie *señority* i róże... białe, powiedle kwiaty... Gdzieś daleka melodia drga, gdzieś męski toreador kona... Jak lka, ach! Jak lka gorący ton bolera... Ha!... Pęknięcie struny!...

Lecz chwile takie przychodziły rzadko i wnet rozwiewały się bezpowrotnie. I znów spowijała duszę w białe całuny mistyczna zaduma. Zwykle siadywał w niszy olbrzymiego okna narożnej wypatrzni twarzą zwrócony ku tytanicznym skałom, jakie piętrzyły się wokół zamczyska. Gdy go już znużyły zawile traktaty ascetów, odkładał foliały i zanurzywszy oczy w błękit nieba godziny całe przepędzał bez ruchu. Nieraz już jaskółki, wracając na nocleg pod zamkowe okapy, uderzały w przelocie o szyby, nieraz już gasnące na szczytach słońce oblewało srebrną głowę starca szkarłatem zachodu.

W dolinie krążyły tymczasem o ostatnim z Savadrów najrozmaitsze wieści. Na jedno wszyscy się zgadzali: Don Alonzo rozmawiał z duchami przodków. Ile w tym było prawdy, trudno dociec, to pewne jednak, że już od szeregu lat nawiedzały go nader dziwaczne, czasem nawet przykre sny. On sam zwrócił uwagę na jeden szczegół. Oto wszystkie w większej lub mniejszej mierze odnosiły się do Olivareza, wszystkie były jakby modulacjami na ten sam temat, a tym był brat starszy. Być może, że przyczyną było silne przywiązanie, którym go za życia otaczał, być może, że był i inny powód. Hrabia nie zastanawiał się nad tym punktem, natomiast rozdrażniała go w najwyższym stopniu pewna okoliczność stale występująca, ilekroć śnił o bracie. Zwykle ukazywała mu się pomiędzy gęstych zwojów nieokreślonej materii tylko piękna głowa Olivareza; na ustach widma błąkał się wtedy zawsze zagadkowy uśmiech, gdy oczy zdawały się dawać mu do zrozumienia, że pragnie się z czymś<sup>97</sup> zwierzyć. Trwało to niesłychanie krótką, chwilę. Potem zwoje zesuwały się i wszystko roztapiało w jednolitym ciemności.

Sen, Duch

Widzenie, które miał ostatniej nocy, wywarło nań tak silne wrażenie, że pod jego magicznym wpływem powziął Alonzo szczególnie, może nawet dziwaczne postanowienie. Jak zwykle wysiąkła z pokładów nocy upiorna głowa oświetlona nie wiadomo skąd padającym, zielonawym refleksem. W chwili, gdy już poczęła się zasuwac za kotary, zawarte dotąd szczelnie usta na moment odchyliły się i wyszeptały belkocącym głosem:

— Odwiedz mnie! — i znikły.

Alonzo postanowił usłuchać wezwania i w tym celu nie udał się tej nocy na spoczynek. Czuł dobrze dziwactwo swego zamiaru, nie mniej jednak nie zmienił go, lecz za wszelką cenę chciał spełnić wolę widma.

Spojrzał na zegar: była druga po północy; dwóch rycerzy poruszanych ukrytym mechanizmem sprężyny wyszło przez otwarty na oścież portal, uderzyło dwukrotnie kopiami w tarczę i zaszło za drugą ścianę klatki zegarowej. Czas był najwyższy.

Wyjął z żelaznych kleszców kuny<sup>98</sup> płonąca żagiew u węgarów<sup>99</sup> podwoi<sup>100</sup> i przystąpił do jednej ze ścian komnaty, którą od stropu aż do posadzki zakrywała kitajkowa zapona. Robota była nadzwyczaj subtelna, przetykana złotogłowem, wzorzysta perłami:

Pod stuletnim jaworem śni słodko, marzy urodziwy książę. Złote pukle włosów rozkocily mu się po barkach, przymknięte powieki drgają od popołudniowego skwaru ledwo dostrzegalnym ruchem. Niedbale wyciągnięta ręka obejmuje miękkim ruchem pień drzewa, druga spoczywa na jelicach szpady wysadzanej w modre szafiry. Śni, marzy... może o czarującej wodnicy, co tam spoza drzew w leśnej topieli się pławi...

To książę Piotr z Prowansji i jego małżonka: piękna Meluzyna...

<sup>96</sup> *świta* a. *świtka* — wierzchnia odzież z grubego materiału, rodzaj kurtki a. sukmany. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *z zwierzyć się z czymś* (daw.) — dziś popr.: *z zwierzyć się z czegoś*. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *kuna* — słup z kółkiem żelaznym. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> *węgar* — drewniana belka z obu stron okien a. drzwi. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *podwoje* — drzwi dwuskrzydłowe. [przypis edytorski]

Alonzo zebrał makatę w fałdy i odsunął: na ścianie mniej więcej w środku ukazał się wydatny, kościany guzik. Oburącz przycisnął gałkę. Ściana zaczęła się rozstępować na dwie strony, a w otworze powstałym na jej miejscu zaczerniała głęboko wyłobiona czelusć. Rozświecając ciemności pochodnią, wszedł do wnętrza. Po prawej odsunął żelazną zasuwę i wyjął z głębi wielki, kilkakrotnie zazębiony klucz. Teraz począł badać uważnie kamienną posadzkę skrytki, ułożoną w kwadratowe tafle. Jedną z nich, znać<sup>101</sup> lekko założoną, odrzucił na bok bez wysiłku. Tędy prosto już wiodły podziemne schody do grobowców. Ostrożnie, ściskając drzewce żagwi, zeszedł po stopniach w dół, zapuścił się w wąski korytarz i zatrzymał przed ciężko ukutymi wrzeczadkami<sup>102</sup>. Wprowadził wymyki klucza w zamek, obrócił dwukrotnie i pchnął...

Gwałtowny pęd zduszonego powietrza buchnął z wnętrza i zagasił światło. Szczęściem okazało się już zbędne, bo cały grobowiec jasno oświetlał blask miesięczny<sup>103</sup>, wdarłszy się tu przez elipsoidy okien u szczytu.

Odurzony, ledwie przytomny zastanawiał się de Savadra na progu. Przed nim po niszach wykutych w granitowej opoce spoczywali przodkowie w swych świetnych polyskliwych trumnach. Nic — tylko szereg trumien i stalowy płas księżycy niby syпки dźwięk przesiewanego srebra — nic — tylko dzwoniąca cisza śmierci, mistyczny poszmer zaświatów...

Powoli odzyskał spokój. Nisza Olivareza, ostatnia na kraju<sup>104</sup> pod samym oknem, była w tej chwili cała wysrebrzona poświatą miesiąca, przestronna i jasna jak w dzień.

Zbliżył się. Od razu uderzyła go w nozdrza dziwnie miła woń rozlana w tej części grobowca. Równocześnie wyczuwał jakąś szczególną, odrębną jej atmosferę, którą by najlepiej określić, nazywając środowiskiem Olivareza. Tak — ten niepojęty dlań nastrój czy duszę miejsca takim jedynie określeniem można było choć w przybliżeniu oddać. Nazwa ta, podobne ujęcie rzeczy nasuwało się prawie odruchowo, płynęło samorzutnie z głębi jestestwa bez rozumowych przesłanek. Żywiolowa projekcja pierwszego wrażenia.

Lecz na tym nie koniec. Hrabia nabrał na tym miejscu dość zagadkowego przekonania: zdawało mu się, że nie jest sam w podziemiu... nie, był tego niemal pewny...

Wszystkie nerwy rozprzęgły się, że drżał jak oszalałe struny brząkadła bajadery...

— Kto tu?!... Kto tu?!...

Dotknął wieka trumny, nie śmiąc podnieść w górę. Wreszcie, przemknąwszy oczy, odważył się; czuł pod ręką, jak się z wolna odchyliło i zakreśliwszy łuk rozwarło na oścież...

Nagle odemknął oczy i z krzykiem grozy skoczył wstecz...

W trumnie leżały nienaruszone zwłoki człowieka nieco starszego od hrabi. Długa, biała broda sięgała do pasa, chorobliwie wybujale włosy wyścielały szczelnie ściany dna, pokrywając upiornym płaszczem ręce, tułów i nogi. A spomiędzy tej dzikiej oplączy włosów siwoszarych wychylało się w okolu brabanckich koronek dwoje rąk... Nie!... Dwoje szponów o nieludzko wydłużonych, drapieżnych paznokciach jak kreda białych i bezkrwistych...

Był to trup Don Olivareza de Savadra, paradoksalny trup postarzały o lat czterdzieści...

Alonzo miał przed sobą potworną anomalie, jedną z najdziwniejszych, z najszańszych świata...

Wzniósł oczy na niebo pełen oczekiwania, niepewny... Lecz tam w górze cicho było jak przedtem — tylko ponura, rozczochrana chmura wymknąwszy znad *Sierra Negra* zaciągnęła znów zwartą zasłonę nad znakiem Savadrów i jego tajemnicą.

Grób, Trup

<sup>101</sup>znać — tu: widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>wrzeczadze — zamknięcie drzwi lub bramy; okucie budowlane, element w formie sztaby. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>miesięczny — tu: księżycowy. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>kraj — tu: skraj, kraniec. [przypis edytorski]

# Kłątwa

## W GODZINĘ CHUCI

Kłoniło się na podwieczerek. Duszny, niesamowity czas. Jesienną, przeźrałą<sup>105</sup> dawno porą było, kiedy już zwiezion<sup>106</sup> zbożny sprzęt<sup>107</sup>, rozprzędło lato babskie kądzielne włosy, pomiotły drzewa...

Tam w dali łęgi, ścierne płanie<sup>108</sup>, ozime uwrocie, sposoczyło<sup>109</sup> słońce... mocne, dziw żarne w tej chwili, pobudne...

Więc rozgorzały ziola, ciekął się niewczesną rują zwierz, schutnieli<sup>110</sup> ludzie...

Zawoniała przynętnie macierzanka, rozwiodyły wabne czary dziewanny, uroczniki... rozwarły lubieżnie przęsa skrzyppy, wzdęły plemiona modrzeńce...

Cichajcie!... Cyt, cyt, cyt!...

Skleszczyły się w dzikiej rozkoszy stepowe turzyce, splotły lebioda z kostrzewą za bujne, rozwiązłe kędziory...

Pijane szalem, potrute wyslizgły się dzwona glist ziemnych z zabójczych uścisków czerwiody...

Cichajcie!... Cyt... cyt... cyt...

Dziwny odwieczerek, jesiennej żądzy smęt...

Pocichły siola, zgłuchły łany wsłuchane w krwi swej szept...

Wieczornej zorzy szał płony na starczy, karli łąg. W parną godzinę pożądań, w kłątewną chwilę zapłodu, gdy słońko na zapad<sup>111</sup> się chyli, skoralał grzebieńce pagórów...

Jałowy żar, wyrodny pęd, wszetecznych sparzeń chwila...

Cichajcie!... Cyt... cyt... cyt...

W prześcigłym sadzie pogwar wystających, zległych drzew, pomiotem hardych, błogosławnych.

Stary, dobry sad — Błażeja Żwacza włosć...

A w sadzie cicho. Po ścieżkach liście się rozesała zwiotszałą pościelą, zmarniały słoneczniki...

Tylko hań<sup>112</sup> pod przelazem modrzeje wrotycz, hołubi się przytulia...

A w sadzie cicho... Liść jedno zżółkły spadnie, zaszeleści, zawinie się w kręgach i lenie...

Przy wrótni<sup>113</sup> spomiędzy czaharów<sup>114</sup> przed chatą człek widniał młody, urodziwy i bystro poglądał na gościniec. Snać<sup>115</sup> niespokojny mocno i nieswój, bo bez postanku<sup>116</sup> odwracał oczy ku zagrodzie, co spoza drzew bielala i znów wylękły wzrok włókl spopiełałym kurzawą traktem.

Wyglądał kogoś — ponoć niestęskniony gościa.

Odbywał stróżę<sup>117</sup> na przeklętych czatach przed rodzicem własnym, przed ojcową sadybą, bo brat młodszy z macochą się w chacie sparzyli w duszną godzinę zachodu, w poblaskach łuny wieczora.

Więc strzegł ich przed ojcem postawion<sup>118</sup> na straży u wschodu, gdy się stary przed świtem na kiermasz wybrał<sup>119</sup>.

<sup>105</sup>przeźrały (daw.) — przejrzaly. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>zwiezion (daw.) — forma skrócona przym. r.m.; dziś tylko: zwieziony. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>sprzęt (daw.) — tu: zbiory; *zbożny sprzęt*: zbiory zbóż. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>płan a. płania (daw.) — rozlewisko; także: *płoso*. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>sposoczyć (neol.) — oblać posoką (tj. krwią), tu: oblać krwawym blaskiem. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>schutnieć — poddać się działaniu chuci (tj. pożądania). [przypis edytorski]

<sup>111</sup>zapad (z ros.) — zachód. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>hań (gw.) — tam. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>wrótnia — wrota, drzwi. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>czahary — porośnięte krzewami, trawami i niskopiennymi drzewami mokradła. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>snać a. snadź — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>bez postanku — nieustannie. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>stróża — straż, czaty, warta. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>postawion (daw.) — skrócona forma przym. r.m.; dziś tylko: postawiony. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>gdy się stary (...) wybrał (gw.) — forma grzecznościowa czasownika w lm w odniesieniu do rzeczownika lp; dziś: gdy stary wybrał się. [przypis edytorski]



Czuwał, by ich przestrzec, gdy będzie powracał w obejście, niosąc korale, okrajce dla Halszki nowożonki, dla synów niedzielne przyodziewy<sup>120</sup>.

A miał wrócić o zmroku drogą, co hań się wije ku miastu.

Przyczał się Wonton, przywarł do ziemi, strażując kazirodczej miłości. Bo taka wola Ostapa, młodszego brata.

Dziwnie przemożną miał władę<sup>121</sup>, że nie lza<sup>122</sup> się było Wontonowi przed nią uchylić, swobodną piersią odetchnąć. I nie było to miłowanie braterskie, serdeczne. — Bogać tam! — Jeno się go bał czegoś<sup>123</sup> okrutnie i truchłał na jadowity błysk tych źrenic ciemnych, migotliwych niesamowitym żarem. Chmurzyła się w nich dzika moc i skuwała mu wolę, że ni kroku nie ważył postąpić.

Wonton miał serce śmiałe, nieulekłe na śmierć i przygodę i niejednemu by dogodził: mocny był, w barach rozłogi<sup>124</sup>, śmigły<sup>125</sup> — nie byle kogo się uląkł. Przecież gdy Ostap, wpoiwszy węń połyskliwe swe ślepia, cichym a przykazującym głosem coś mu prawil<sup>126</sup>, słuchał, przystając<sup>127</sup> mimo woli. Nieraz bywało, nie ma go parę niedziel<sup>128</sup> doma<sup>129</sup>, zwyczajnie na zarobkach — myślałbyś, że się trocha<sup>130</sup> odetchnie, spod ciężkiej ręki wychynie<sup>131</sup>... Darmo! Wonton nie śmiał przeciwieć się bratu ni tym pomysleniem marnym, co w tajni dusznej się nurza, zakryte mglicą, roztratne, ni tą płochą chęcią.

Przecze<sup>132</sup>?... Dlaczego?...

Nie wiada<sup>133</sup>... Może, że miał duszę wierzącą...

A był ci Ostap człek mały, przysiadły i wąty; siły u niego w członkach nie było nijakiej, jeno w oczach żglił się trawiący, niby cień czerwienice biesowe na uroczyskach podleśnych. Żarzyło się tam coś, mżyło zielonym ognikiem obłędnie, paląco, urocznie.

Sprawiedliwie też powiadali ludziska, że człek ten ni Bogu świeczki nie zażęł, ni diabłu ogarka.

Bo i prawda. Bogać się nie bał ni krzyne, bies za kmotra go nie chciał.

A wszystkoć u niego śmiech, a wszystkoć duby<sup>134</sup> i mierzwa.

Czarci zatraceniec!...

Hej, hej! Nie potrzac<sup>135</sup> było, Błazeju stary, młodziawej żonki brać, nie potrzac!...

Nie lza! Chciałeś. — Pojoneś<sup>136</sup> Halszkę, pojoneś krasawicę na dolę i niedolę, być<sup>137</sup> porubstwem stadło skaziła.

Hardoś<sup>138</sup> się nosił, z junoszów<sup>139</sup> przekpiwał: córkę<sup>140</sup> powiła. Miłowałżeś ją, miłował i zweselonym okiem po niej wodził, gdy ci dziecię karmiła. Jenoś zabaczył<sup>141</sup>, że wodził ponoś<sup>142</sup> i drugi. I nie dziwota! Cudna bo była niewiastka! A małe ssało pierś kragłą, odęta karmią<sup>143</sup> krwi maci. I szło młodziwo słodkie jak pierzga<sup>144</sup> pszczelna, gruzliłoś jędrne, posytne...

<sup>120</sup>przyodziewa (gw.) — ubranie, odzienie. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>włada — władza, moc. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>nie lza (daw., gw.) — nie wolno, nie sposób. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>czegoś — czemuś, z jakiegoś powodu. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>rozłogi — tu: rozłożysty, szeroki. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>śmigły — szybki, zwinnie; smukły i wysoki. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>prawić (daw., gw.) — mówić. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>przystać (daw., gw.) — zgodzić się. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>niedziela (daw.) — tu: tydzień. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>doma (daw., gw.) — w domu. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>trocha (daw., gw.) — trochę. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>wychynąć (daw., gw.) — wydostać się. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>przecze (daw., gw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że; inaczej: czemuż to, dlaczegoż. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>nie wiada (gw.) — nie wiadomo. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>duby — głupstwa, bzdury. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>nie potrzac było (...) brać — nie potrzeba ci było brać; nie powinienes był brać. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>pojoneś (gw.) — pojawiłeś (tu: za żonę). [przypis edytorski]

<sup>137</sup>być (...) kaziła — skrócone od: by ci kaziła. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>hardoś się nosił (gw.) — hardo się nosiłeś; dumnie się zachowywałeś. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>junosza (daw.) — młodzieniec. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>córkę powiła — skrócone od: córkę ci powiła; urodziła ci córkę. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>zabaczyć (daw., gw.) — nie zauważyć; przeoczyć. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>ponoś a. ponoć — podobno, zapewne. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>karmia — karma, pokarm. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>pierzga — przetworzony przez pszczoły pyłek kwiatowy, zmieszany z miodem i wydzieliną gruczołów ślinowych owadów, stanowiący ich pożywienie w okresie jesienno-zimowym. [przypis edytorski]

Władza, Wzrok, Oko, Siła,  
Strach, Brat

Siła, Ciało, Oko, Ogień,  
Czary

Bóg, diabeł, Śmiech

Pozierał<sup>145</sup> Ostap i luną kraśniał, ilekroć spotkał się z żrenicą macochy.

Tak i rozgorzeli oboje...

A dziś sprzęgli się tam w chacie, w komorze: wieczór bo był<sup>146</sup> jakiś dziwny, pobudny, więc nie zdzierzyli<sup>147</sup> parnoty...

Pod czas<sup>148</sup> strażował Wonton przy wierzejach.

Naraz mróz go zajął po pacierzu<sup>149</sup>. Zdało mu się, że ktoś zaszedł w obejście z zatyła, furtą od sadu, tam gdzie się łan poczyna. Skoczył gromem<sup>150</sup>, by zajrzeć.

Błążej to był, co znieacka miedzą ugorową powrócił z miasta, wybrawszy dłuższą nad zwyczaj drogę: sąsiada odprowadzał, więc mu się i zboczyło. Ręką już imał<sup>151</sup> skobli.

— Ojciec poczkajcie no, coś wam rzeknę!

Obejrzał się na Wontona i nagle jakoś mu z niedowierza łysło w oczach:

— A to stanie nam czasu i na potem...

I już nie zważając pchnął przed się dźwirze...

Zajrzał w głąb...

Krzyknęli... rozsprzęgli się.

Rozchełstana, sromem, lękiem zejmana Halszka przypadła na ziem z odzieżą, Ostap nie wiada, zestrachany, czy okoniem stanąć gotowy nie ruszył od wyrka; jeno po licu niejasne światła chodziły i pobielał niesporo...

Błążej zrazu nie odrywał oka od cudzołżnicy, jeno zapuścił w nią wejrzenie szklane bolem i krzywdą, zda się — skamieniał. Wtem przeniósł je na Ostapa: coś go poderwało z miejsca, że począł się wokoło oglądać, niby za czymś dybiąc, by cisnąć w wyrodka; lecz rychło poniechał, twarz mu krzepciej<sup>152</sup> zziemiała, łeb powisł ku nalepie<sup>153</sup>. Borykało<sup>154</sup> się w nim, pienieło niedobrze, coś straszego ważył...

Z nienagła<sup>155</sup> dźwignął ku synom ważkim miotem oblicze okrutne wołą, wzniośł w górę ręce drgające, zradłone udręką, zwężłone ręce rataja: władny był jakiś, dostojny z tym włosem szedziwym w posoce zachodu, w sukmanie odświętnej spłomienion...

...Kłątwa wam, syny wyrodne! Kłątwa wam!

Ty, Boże wielki w niebie, słysz i słowa pełń!

Ty, ziemio święta, czuj i mścij!

Pomsta na was ojcowal!...

Niechaj wam łan szalejem zlega, ostem mątwi; niechaj was ugor tarnią posoczy, blekotem truje! Bezdomne włóczęgi, żebraki!...

Radości nie znajcie nijakiej, tą kłątwą przeżarci do sedna, do wnętrza duszycy!...

Na próchno was zmiele, na rdzawe, na stęchlą, zbutwiałą czerwotocz!...

Bezrolni najmyci<sup>156</sup>, zesłańce!...

Niech dzień ten w czas swój zachodowy przekłęty święci dla was skon...

w ten dzień, za rok, w odwieczrz pomrzecie oba!...

— ...Chi, chi, chi! — zarechotał urągliwie Ostap. — Słuchaj ty głupi stary, nie wierzę ni w ciebie, ni w kłatwę twoją. Chi, chi, chi!. Pójdź Wonton!... Cóż tak dygotasz jak osika na wietrze? Pójdź ino<sup>157</sup>, a nie wierz mu, mówięć, nie wierz mu, bo... At!... Co gadać... Ino się nie przyostawaj!...

Szarpnąwszy brata za świtę<sup>158</sup>, pociągnął na gościniec...

<sup>145</sup>pozierać (gw.) — spoglądać. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>wieczór bo był (gw.) — bo też wieczór był. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>zdzierzyć (daw., gw.) — wytrzymać. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>pod czas — tu: tymczasem. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>mróz go zajął po pacierzu — przeleciał go dreszcz po plecach (po kręgosłupie). [przypis edytorski]

<sup>150</sup>gromem — tu: błyskawicznie. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>imać czego (daw., gw.) — chwycić za co, brać się za co. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>krzepciej (daw., gw.) — mocniej, silniej. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>nalepa — w dawnych domach wiejskich: część pieca, na której się wygrzewano i pod którą można było palić; przypiecek. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>borykać się — zмагаć się. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>z nienagła — nie nagle; z wolna. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>najmita — chłop pozbawiony wszelkiej własności, zmuszony zarobkować sprzedając swoją pracę, wynajmować się do pracy. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>świta — sukmana, wierzchnie odzienie chłopskie. [przypis edytorski]

A był to dzień Ofiarowania Przczystej Paniienki, gdy już liście<sup>159</sup> rześnym pokotem zalega, słonko u stoku się waży, a po polach, po szerokich porozwiesza mgławce czechła<sup>160</sup> jesienny, cichy smęt...

Nagle skądś, spod ziemi zerwał się wichur mocny, zagonny, opadał zeschniętym różańcem liści, zgarnął w lute pazury syplkie pięstugi piachu i cisnął im w twarz na odchodne...

Słonko gdzieś z nagła zapadło i poćma gwałtowna, jesienna zapuściła na świat grube, nieprzezorne rańtuchy<sup>161</sup>.

Zawył po raz wtóry, zaniosło kurniawą i rozhułała wicherzycy...

Znacie jesienne nawałnice, gdy po rozłogach drzewa w przekłonach się chylą, gawrony w krucznych korowodach kraczą, rozleźwi się strugami dżdżu rozmokły, nudny świat?

Znacie chery<sup>162</sup> poletnie, rozkiełzły<sup>163</sup>, gdy po chojarach biesy się kołyszą, po wiatrowiskach jędzony chutnią, a po stajach, po samotnych wypatruje ślepe oczy czarna, biedna noc?...  
W taką godzinę wygnął Błażej Żwacz synów z ojcowskiej, rodzimej zagrody...

Więc poszli w wichur, w szarugę, w poświstach zjuszonych orkanów, w odchliisko mgłami ciężarne...

---

## NA LEWADZIE

Była kotlina — przestronna, darniowa płań, podszyta łączą i zieleń. Pagóry po krańcach, uroczyska pobrały się wkoło, zsupliły we wian przelęków, wierzchołów... a szlomy gorzały w pokrwawiu.

Zachód bo się rozzagwił czerwcowy, więc i luniały w zgorzeli.

Na przelaj przez darń, przez murawę przebiegał się modrawą strugą potok, rozwodził pośrodku w wiszar<sup>164</sup> zgłuszoną mlączkę<sup>165</sup> i zatracał hen za kurhanem, gdzie zagaj bukowy się ćmawił. Poprzez rozpadlinę, co ówdzie się rzuciła między dwa osypiska, wnęciły<sup>166</sup> się poślednie<sup>167</sup> promieńce i klinem przypadły w lewadę<sup>168</sup>: spłomieniły się gładysze, zapachniały dzwońce, marzanna, zagrały grzechotki stada wedle moczar... tak słonko żegnało dolinę...

Na zboczu połogiego<sup>169</sup> wysypu, pod wierzbą, płaczką-samotnicą dwoje młodych siedziało.

On dziewczkę wpół objął, a drugą rękę przyłożywszy do czoła zapatrzył się gdzieś daleko przed siebie, w rozświel zachodową...

Choć droga mu być musiała jedyna, płowowłosa Hanka, przecież cień mroczył młode lice, udręka cicha, tajona mętniała w oczach.

Niewesoło miłował Wonton, niewesoło.

Zawszec pono był taki ponury i markotny. Nie widziała innego od owego dnia, jak przyszedł z bratem Ostapem do slobody<sup>170</sup> ojcowej, aż do tego wieczora, co ot na łanach goreje.

Pomni<sup>171</sup>, jak wstąpili do zagrody jej rodzica przemokli, nasiąkli deszczem, zgłodzeni... w jesienny, późny dzień — jak im warzę<sup>172</sup> ładziła, podejmowała...

I pozostali w chacie najmytami.

---

<sup>159</sup>liście — tu: listowie. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>czechło a. czechel (daw., gw.) — gźło, giezło, koszula; także: płócienny kitel, prześcieradło. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>rańtuch — fartuch. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>chery (daw.) — wietrzna, śnieżna pogoda; zamieć, zadyмка. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>rozkiełzły — rozkiełznany. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>wiszar (daw.) — urwisko; także: roślina czepna; gęste, splątane, zwieszające się zarośle. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>mlączka — grzęzawisko. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>wnęcić się — wcisnąć się. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>pośledni (daw., gw.) — ostatni. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>lewada (daw., reg.) — nieporośnięta, okolona drzewami przestrzeń: łąka a. polanka. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>pologi (daw.) — lekko pochyły, spadzisty. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>sloboda — osada. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>pomni — forma 3.os.lp., inaczej: pamięta. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>warza — gotowany posilek. [przypis edytorski]

We wsi nikt ich nie znał, bo snąć z dalekich stron przywędrowali, ojciec też nie wywiadywał... bo i po co?... Sieroty pogorzeczy... Boże dzieci. Pracowali niezgorzej, jeno młodszy czasami zbereźnikiem patrzył, zbożności urągał, że i stary, sam nieraz zgromił i rozeźlił się niepomiernie, ale że był chłop nieleniący się, a czasu orki czy kośby nie wylegiwał jako on głupi Maciuś za przypieckiem i roboty się imał piorunem, więc mu gazda jedno luźne rozpiął wniki i poszerzał oka<sup>173</sup>.

Różnie też obnosiły go baby<sup>174</sup> po siole<sup>175</sup>, choć nie zawsze po bożemu; ale czego to jęzorami nie wymięła?

Obstawał sam za nim, przeto i milkły. Pono nawet o dorodną dziewczkę z przysiołka, gospodarską córkę zabiegał i o dziewosłębach zatracał.

Wiodło mu się.

Hanek coś odeń odrzucało strachem i odrazą okrutną, że się nim jak jadowitym gadem mierziła. Przychodziły na nią godziny nieprzejednanej nienawiści i lęku przed tym człkiem wieczyscie urągliwym, śmiejącym. Szeptalo w piersi dziewczuszej, że od niego przyjdzie na jej młodą dolę jakieś wielkie, niechybne nieszczęście.

Za to umiłowała całą duszą Wontona. Może za to sumowanie od rana do nocy, za to utrapienie, co mu się uporczywie na szyi wieszalo, za wielką cichość serca?

Smutny był zawsze i zadumany; coś robaczywego toczyło duszę. A choć na chwilę, gdy mu biedną głowę przyciskała do piersi, o tym zapominał, to nie na długo; nieraz bywało w całunku miłosnym wykrada się przez bielejące wargi głuchy, tłumiony stęk. Ważki snąć ciężar ugniatał Wontonową duszę.

Rada<sup>176</sup> by go zdjąć, cisnąć precz daleko, lecz nie wiedziała jak. Nie zwierzał się, nie skarżył nigdy. Nagabywała Ostapa, lecz się śmieszkami opędzał i przekpiwał z brata.

Więc i poniechała<sup>177</sup>.

A wiedział bez pochyby! Coś było między nimi, jakiś się supel nieludzki zawęził w osierdziach i szepił obu tajną pętlicą, której końców nie wydoliła<sup>178</sup> zachwycić<sup>179</sup>. Wonton potrzebował Ostapa; łaknął jego beztroski, szydnego<sup>180</sup> śmiechu i — dziwna — jakoby rad słuchał bezbożnych natrzasań.

Wtedy, zdało się, nabierał otuchy; odchodził, tajał stęgły<sup>181</sup> na czole ból, marniał wieczny lęk leżący się w oczach.

Tak było na małą chwilę. Za jakiś czas znów wyczołgiwała się z przeklętej nory zgryzota i zapuszczala w duszę drążące zagony. Na ostatek począł pić.

Pił dużo, łapczywie, jak na śmierć i jakoś nie mógł upić się ni razu; rankami wracał w obejście trzeźwy jakby nic i ruszał w pole na robotę, chmurniejszy jeno niż wczora i głębiej pochylon ku ziemi.

Tak i przekociło się z pół roku: ziemia odjęłaś<sup>182</sup> lodowatej obieży<sup>183</sup>, prześcigła wiosenka, ładziłoś<sup>184</sup> na drogę lato miłościwe...

Pod zmierzch na wodopój zalatywały z dolin, łąk, wygonów pośpiewy dziewczuch, parobów, gdy do dom od dziennych mozołów pilili<sup>185</sup>, poryki stad.

Rodzic Hanczyny dostatnią oborę dzierzył, że dziewczce ponierazu<sup>186</sup> przychodziło się dobrze nagonić, nakrzyczeć, nim to z pastwiska w obejście zawróciła. Litował się jej umęczeniu Wonton i nieraz, bywało, od roboty wolniejszy zachodził w parów i pomagał spędzać kierdel<sup>187</sup> w opłotki.

<sup>173</sup>luźne rozpiął wniki i poszerzał oka — odpuszczał, przymykał oko, patrzył przez palce itp. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>obnosiły go baby — obgadywały go (...). [przypis edytorski]

<sup>175</sup>siolo — wieś. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>rada by co zrobić — chętnie by coś zrobiła. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>poniechać — porzucić, zaprzestać. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>wydolić (gw.) — zdolać. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>zachwycić — tu: pochwycić, schwytać. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>szydny (daw.) — szydlerczy, prześmiewczy. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>stęgły — tu: stężaly, zastygły. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>odjęłaś — tu skrót od: odjęła się, wyzwoliła się, wyswobodziła się. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>obież (daw.) — oblawa; tu: obejmą, krąg, uchwyt. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>ładziłoś — tu skrót od: ładziło się; układało się, przygotowywało się. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>pilic — szybko podążać, pilnie dążyć. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>ponierazu — nieraz, niejednokrotnie. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>kierdel — stado. [przypis edytorski]

Tak ci się i dziś przygodziło<sup>188</sup>. Że już pora była zawracać do domu, przytknął do warg ligawkę i smutna dumka poniosła<sup>189</sup> po rosie wieczornej.

Gdy już rozwiały się ostatnie pogłosy, skądś zza wzgórzy, pagórów przewąkronił w lewadę...

Jawor, jawor,  
Jaworowy gaj!...  
Słysz, jak głucho smęci,  
Zzółkłe liście kręci  
Dziki, luty wiatr!...  
Hej!...

Jawor, jawor,  
Jaworowa stron!'  
Czuj, jak oman chodzi,  
Jak w bezdnie zawodzi,  
W tajną, ślepią chłai!  
Hej!...

Jawor, jawor,  
Jaworowy strzyg!  
Poszedł w ścież zawrotną,  
Junosza — wykrotną  
Zatracił się ślad...  
Hej!...

Wzdrygnęła się Hanka.

— Antek, straszno mi, skądś od wertepu przywiało, od hańtego<sup>190</sup> bugaju.

— Pono... kędy wiedzie Czarcia Perć... Haniu! To doli mojej znak! Zarechotało złe! Jak dnia jakiego nie wrócę do chaty, wspomnij na odwieczny ten... To rodzic przed sąd Boży pozywa w kłętą godzinę...

Przypadł twarzą ku ziemi i zwinął się w kłab.

Słyszała, jak kłaił zębami ze strachu, drąc murawę, a oczy obłędem nabiegły.

— Antek! Mieję Boga w sercu! A cóże robisz, nieszczęśniku?... Jać przeznac<sup>191</sup> doli, nie przeznam, ale ci rzekę, że rychło nastanie odmiana i nam może miłościwsze jutro zapłonie. Za dwa dni święcim gody słońka w noc uroczną Soboty. Dziew boże stado zawiedzie święty wian, kuplanych ogni kolisko... Kralicą pośród stanę, wianeczek pierwsza na wody cisnę; ty złów, a będziesz mój... Antek! Cóże ci to?... W rusalnym zdroju ocudzim się, zbędziemy winy na szczęśny życia znój... W świątlnym żarze otrząśniam z niemocy w sobotni cudów czas, gdy Ładoń w męża tężnieje... Antek! W noc czarów zajdziemy w las po kwiecie, co dolą darzy, paprotne ziele... razem... Ino się ulęknij!

— Darmo, darmo cieszysz<sup>192</sup>; nie dla mnie ono wyrośnie, nie dla mnie... Z innym pójdziesz na szczęśnej doli łów... Nie lza, za późno... — I z bólem okrutnym podjął ją za kolana...

— Chi, chi, chi!... — zanosło śmiechem i z leszczyny wychynął czegoś wielce zwellony Ostap.

— Wonton!... Chi, chi, chi!... Nowinę niosę: uradujesz się ździebko samostrachu! Stary skapia! A jakże... do cna... jutro na cmentarzyk wywłoką. Chi, chi, chi!... Ot i wywróży!... jeno sobie, nie nam... Nuże, zaliś<sup>193</sup> osłupiał?!...

Wonton słowem nie odparł, jedno oczyma błąkał po bracie, niby po obcym; wreszcie zwiesił w zadumie głowę ku ziemi...

<sup>188</sup>przygodzić się (daw., gw.) — przytrafić się, zdarzyć się. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>poniosła — tu skrót od: poniosła się. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>hańtego (gw.) — tamtego. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>przeznac (gw.) — poznać, przewidzieć. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>cieszyć — tu: pocieszać. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>zaliś osłupiał (daw.) — czyś osłupiał, czy osłupiałeś. [przypis edytorski]

Święto, Obyczaje, Miłość,  
Lud, Lato, Kobieta,  
Męczyzna

Aż coś snąć mu zaświtało od nowa, bo wpił ręce tak krzepko w ramię Ostapa, że syknął z bólu:

— A ja ci Ostap powiadam, że to nic. Jeszcześmy nie po drugiej stronie... jeszcze nie minęła pora... Przeczżeś wesoły?

Lecz tamten już się rozeźlił.

— A zmarnieję w tej udręce, skoro ci się tak zachciewa, ino mnie przyostaw w spokoju! A toć powiem w przydatku, że się z godami ładzę pod jesień. Pojones, Wonton?... Pod późną jesień, na przekór... Obaczym, kto z nas przeważniejszy: ty... Nie!... Chciałem rzec: wy czy ja?...

---

Słabo już pelgotała czerwień spomiędzy pni, zgarniając resztę ogni pod ziemię.

Ponad głowami wszczęły przedmierzchowe kwilenia lelki, cmentarne przyzywy puchacze...

Z bajorów dźwigały mleczne cielska mgły wieczorne, skłaczały się w odęte buły i położyły po polach. Od stawisk przygnały wiatrowe podmuchy gawędę żab...

Na trakcie pędziło trzodę owiec troje ludzi. Widno<sup>194</sup> spóźnili się mocno, bo żwawo pomykali na wieczerzę. Przyjęła ich wieś kręgiem lśnień watrzanych<sup>195</sup>...

---

## CZARCI SKOK

Zapuciło jesienne słońko złotooki niewód<sup>196</sup> pomiędzy pnie rapatych jesionów, jaworów, spławiło w czerwonej topieli zrudziałą usłoń rozkali.

Na zachód mu było, na rychły — po znojnjej, latowej zgorzeli, na zbożny, późny wczas... Więc gasło.

Zagrała żagwicami wichrów debra<sup>197</sup>, miotnęły się w niebo wyzewem krzesanice...

Poniknąć im było za chwilę, zanurzyć się w nocnej omroce... Więc płomieniały pod koniec. Już chyłkiem pełzał po zboczach zdradliwy ćmuk, podlizywał stoki, zarzucał ponure wiecierze w głębiny pieczar...

Tylko hań górą na przełęczu jasno było i krwawo. Spodem w rozpadli gruchotała po żwirowisku woda głęboko, że pod mrok okiem nie dojrzysz. A po dniu strach patrzeć; parów bo do cna zjeżony iglicami graźni, co od dołu się stożą i od samego wejrzenia kołą. Toż i nikt nie zaglądał w roztoke, gdy mu przełękiem<sup>198</sup> droga wypadła.

Przerzucała się powyż ścież<sup>199</sup> ściągała jak dziewczuszyna przewiązka, stroma, wyboista: chyba biesowi poręczna, gdy pod nockę wiatrową do kochanic w zaloty wędruje. Nie darmo Czarcim Skokiem nazwano.

Rzadkoć i nieochotnie puszczały się ludziska tym zawodnym wykrotem, chyba że na czasie zbywało, a pośpiech przynaglał. Właśnie widniał żywo, zatopion w powodzi słońcovej, jak skrzzącą zaworą sprzęgał skalne wirchowiska.

Po brzegach wgłobiły się w opoczyste podglebie szaroty, zazierały w otchłań nieuleknione badyle czartopłochu. Drapieżna краса była i twarda. Nie dziwota: orłowe grodzisko... Z nagła na grzbiecie od lewicy ozwały się wartkie stapania i głosy; ludzie widno nadciągali ku perci. Jakoż i przyspiali niebawem zamajaczywszy w żlebowej gardzieli. Odprowadzał Wonton Ostapa na gody, jakie miał nazajutrz z gospodarską dziewczką odprawiać, a że już spóźniona zdała się chwila, zasię przed weseliskiem trza było jeszcze coś niecoś przyładzić, przeto rzucili się przełęczą z kielza przemierzając drogę.

Młodszy szedł w poprzód, cały w pośmiechach, zradowany szczęsną żeńbą — Wonton z nawisłą głową z zapamiętaniem jakowymś naśladował kroki bratowe.

Lica schyłonego widać nie było ni oczu, lecz kiedy od czasu do czasu prostował się w górę, postrzegał twarz ziemią bardziej niż ludzkim ciałem patrzącą, w jagodach zapadłą

Ciało, Smutek

---

<sup>194</sup>widno (daw., gw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>watrzany — pochodzący od watry, tj. od ogniska pasterskiego palonego przy szalacie. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>niewód — rodzaj sieci. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>debra a. *debrza* — wąska, płytka dolina; dolina o przekroju poprzecznym w kształcie litery V, powstała w wyniku działania erozyjnego wód okresowych na mało spoiwym podłożu. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>przełek — dziś: przełęcz. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>ścież — ścieżka, ścieżyna; droga. [przypis edytorski]

jamami, przeżartą. Tylko źrenice mu pelgotały gromnicznym światłem gdzieś głęboko, głęboko w jaskiniach oczodołów. We wsi gadali, że człek to już strawiony do przyciesi. Bo i prawda: ostatkami gonił...

Dziwnie bo, dziwnie bywa na tym tu ziemskim postoju i przeróżne ludziska snują się po obłądliwych lasach świata tego.

Idzie ci człek, idzie niby narokiem<sup>200</sup>, aż tu się nie opatrzy, gdzie i po co zawitał. Na pokaz własnowolny, a w rzeczy jako to łątko konopne, wiatrów igrzysko napolne. Wije się to, krąży, a wkoło, a wkoło wartoli... Dolo ty, dolo człowiecza...

Przywrze niejeden wierzeniem do czegoś tak krzepko<sup>201</sup>, rozeprze się skalnym zamczyskiem w posadach tak rozłogo<sup>202</sup>, że go stamtąd nie wyruszyć. A wierzenie owo rozliczne. Jeden się klnie Bogiem, drugi biesowi przykłoną<sup>203</sup> cześć niesie, poniektóry z innymi się siłami zмага.

Zakłęci owych mocy wyzwiskiem najcięższym mozołom wydolą, jakby wsparci na tajemnych barach po szczyrby regłowe się dźwigną.

Nie odgadniesz pono<sup>204</sup> nigdy, kto ich tak mocarzy<sup>205</sup> — one władzy<sup>206</sup> ciemne, którym zawierzą, czy własny duch wierzeniem stalny<sup>207</sup>?

Bo znikąd nie wiesz, zali<sup>208</sup> są naprawdę.

Może to z człeka własnej duszy na świat wychodzą mocarki?

Jeno że sam inędy<sup>209</sup> źródlika dopatruje.

O takich mówią, że z Bogiem abo<sup>210</sup> ze złym<sup>211</sup> społecznie<sup>212</sup> trzyma. Lichoć tam przezna<sup>213</sup>, z kim — może i z sobą samym?...

Ale bywa też ponierazu owo zbratanie we wierze straszne dla ludzkiej doli, gdy wyświęci swą wtórą wywrotną stronicę.

Wtedy obraca się na sojuszników i wspólnym, świętym słowem o ziem<sup>214</sup> powala wierzących.

Tak też bywa, gdy klątwa zawiedzie piorunową chmurę nad głową tego, co jej wiarę daje.

Na to piekielne pozwanie bogi tajne jakoweś, wspólne obojgu bożyce stawić się muszą, by świadczyć ich wierze potęgą karzącą...

Bo nie przeklnie nigdy ten, co nie wierzy...

Tak ci się zawiązuje wspólnota, klątewna sprawa między tą trójcą nieludzką i toczy się, toczy, aż spełni...

Zaś spełnić się musi, bo wierzą.

A może i nie ma trójcy, nie powstał i ślad tajnych mocarzy, jeno dwa duchy człowiecze wzajemną się siłą wszechwładą...

Boć nie przenikniesz, czy Bogiem klnie, czy duchem własnym. Na jedno wyjdzie — byle wierzyli. Kiedyś, po wszystkim powiedzą ludzie:

— Bóg skarał.

Czy po prawdzie, nie wiada<sup>215</sup>. Może sam siebie. Może go własna dusza spełnić klątwę niewoli. W mrokach bo brodzim<sup>216</sup> wszyscy, we mgławych i nikt nie pewien, dlaczego.

Bywa i druga moc duszna, po równo straszna i władna. Potęga niewiary. Choćby go ojciec, mać rodzona na sąd Boży pozwalą, klątwą obrali, nic mu to — zurąga i dziwo: nic mu się złego nie przygodzi. Bywają, bywają ostapowe ludziska!

<sup>200</sup>narokiem — według prawa. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>krzepko — mocno, silnie. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>rozłogo (dw., gw.) — rozległe, szeroko. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>przykłonny — skłonny; chętny. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>pono — podobno, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>mocarzyć kogo — utwierdzać kogo w sile, dawać komu moc. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>władzy — siły. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>stalny — tu: stały, niezłomny. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>zali (daw., gw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>inędy — gdzie indziej. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>abo (daw., gw.) — albo. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>złe (daw.) — tu: zły duch, diabeł. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>společnie — tu: razem, wspólnie. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>przeznać — dowiedzieć się. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>o ziem (daw. forma) — o ziemię. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>nie wiada (gw.) — nie wiadomo. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>w mrokach bo brodzim — bo w mrokach brodzimy. [przypis edytorski]

I ci mocarni, przewładni, lecz, zda się, inaczej. Mroczno bo pośród nas, ćmawo i wieczyście bytujemy na oparzeliskach młaczanych, bez postanku dymiących, mglicami zasnuć, że brat brata w poćmie nie odróżni. Ziemni posieleńcy<sup>217</sup>!

Jedno z tych odparów wyziera, jedno krwawiącym ślepiem łzawi: krzywda! Okrutna, bezwinna krzywda ludzka!...

I to powieczne pytanie: „Przecze? Dla jakiej przewiny?”

Pytał i Wonton, wypatrywał od roku, od onej godziny i po dziś dzień nie odzierzył odparcia. Więc zmarniał do szczętu i spiołuniała mu dusza...

Weszli na Czarci Skok.

— Ostap! Bracie, daj rękę, cno<sup>218</sup> mi jakoś wedle<sup>219</sup> osierdzia!

— Naści<sup>220</sup>, boju! A dierz się krzepko!

— Bóg zapłać: tak raźniej...

Szli dalej. Ostap, co przodował, trzymając w podanej w tył ręce dłoń brata, rzucał po wirkach spokojne wejrzenia, zagłębiał rysie oczy w żlebowe kotliny. Wtem poczuł, że ręka Wontona poczyna dziwnie jakoś drżeć w jego, ni to by ją coś wyrzywało, ni to sam swobodził... Po raz wywinęła mu się z garści i w owejże chwili posłyszał za sobą nagły szmer, jakby kto drugiego ze ścieży w chłań strącił... Wartko się obejrzał; Wontona już na perci nie było, jeno tam w dole rzuciła mu się raz w oczy ostatni bratowa opończa...

Bez krzyku go zmiotło, bez jęku.

A był to dzień Ofiarowania Przczystej Panienci, gdy już liście rzęsnym pokotem zalega, słońko u stoku się waży, a po polach, po szerokich porozwieszona mgławe czechła jesienny, cichy smęt...

Ostap przyostanowił się.

— Star yli<sup>221</sup> to, czy sam?

Hm!...

i krzyknął w bezdeń.

— Głupi ty! A przeczżeś<sup>222</sup> wierzył!?

Rechotem odgrzmiały skaleniska.

Postał jeszcze czas jakiś na samym środku zawrotnej przełęczu jakby na wyzywy<sup>223</sup>, z urągiem... czekał, aż się słońko w niż pokładzie. Wtedy zaniósł się śmiechem raz jeszcze i gwizdając<sup>224</sup> puścił w drogę: śpieszyło mu się na weselisko; najcudniejszą dziewczkę z siola w łożę brał — Ksenię czarnobrewą.

<sup>217</sup> *posieleńcy* — mieszkańcy. [przypis edytorski]

<sup>218</sup> *cno* (gw.) — tu: słabo, bezsilnie. [przypis edytorski]

<sup>219</sup> *wedle* (gw.) — w okolicy, przy. [przypis edytorski]

<sup>220</sup> *naści* (daw., gw.) — masz. [przypis edytorski]

<sup>221</sup> *star yli to* — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy to stary. [przypis edytorski]

<sup>222</sup> *przczżeś* (daw., gw.) — po coś; po co żeś. [przypis edytorski]

<sup>223</sup> *a wyzywy* — wyzywająco. [przypis edytorski]

<sup>224</sup> *gwizdając* — dziś popr.: gwizdząc. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-w-pomrokach-wiary-zbior>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żalny, Z wyjątków. W pomrokach wiary, Drukarnia „Narodowa”, Lwów [1909].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Cezaria Maciejewska, Katarzyna Czech, Marta Golańska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6202-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.